NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 4 listopada 1905 r. Nr. 45.

Samobójstwo Angelusa.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

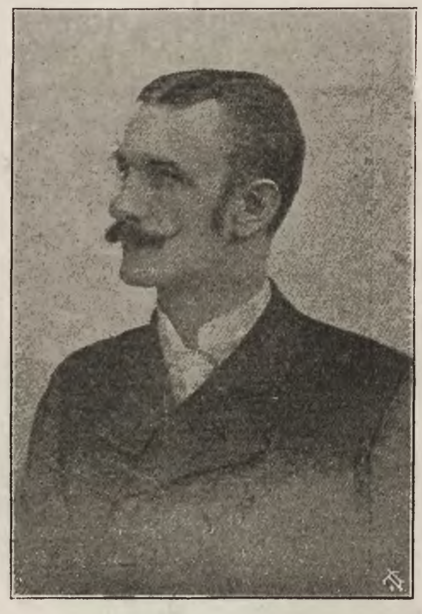
Samobójstwo Angelusa.

(Do illustracyi tytułowej).

Głośna sprawa lombardu Angelusa, sprawa, która przez cały rok była senzacyą nietylko w Krakowie, ale i całym kraju, doczekała się w ubiegłą sobotę tragicznego epilogu. Przed kilku tygodniami zamieściliśmy w naszem piśmie illustracyę, przedstawiającą scenę z rozprawy Angelusa przed sądem przysięgłych w Krakowie i omówiliśmy szerzej tę sprawę. Wyrokiem sądu skazany został Angelus na cztery lata ciężkiego więzienia. Ciekawość ogółu od dnia wyroku zaabsorbowana była tem, co dalej pocznie skazany. Wiadomo było, że wyroku nie przyjął, ale wniósł zażalenie nieważności. Powszechnie jednak sądzono, że Angelus ucieknie. Tymczasem wbrew wszelkim oczekiwaniom w sobotę rano gruchnęła po mieście wianomość, że Angelus odebrał sobie życie w rzymskiej łaźni w Krakowie. Wieść ta zelektryzowała w przeciągu kilku minut cały Kraków, który też wkrótce przekonał się o prawdziwości tej wieści. Jak się okazało Angelus rzeczywiście wyjechał z Krakowa. Udało mu się mianowicie przybyć do Swoszowic, stamtąd zaś pociągiem do Nowego Sącza. Chodziło więc o to, ażeby mógł wyjechać do Węgier i przedostać się przez granicę, z Węgier bowiem łatwiej już dostać się do Rumunii, gdzie mógł osiąść na stałe, bo Rumunia nie wydaje przestępców. Przeprawienie się jednak przez granicę galicyjską było bardzo niebezpieczne, gdyż na każdym kroku groziła mu obawa, że zostanie poznany i przytrzymany. Udało się jednak i na drugi dzień po wyjeździe z Krakowa stanął już na ziemi węgierskiej, w Orłowie. Na Węgrzech niebezpieczeństwo było już mniejsze, pojechał więc spokojnie do Budapesztu. Tu jednak, czy to żal za rodziną, czy też osamotnienie tak wpłynęło na niego deprymująco, że zawahał się i postanowił próbować jeszcze jednego środka obrony. Udał się więc do Wiednia z obszernym memoryałem, przedstawiającym przebieg jego sprawy, który chciał przedstawić ministrowi sprawiedliwości. W Wiedniu spotkał go jednak zawód i audyencyi nie otrzymał. Wtedy to widocznie powziął zamiar pozbawienia się życia. Powrócił więc do Krakowa w sobotę rano, walizkę odesłał przez posługacza do domu, a sam udał się do rzymskiej łaźni przy ul. Sebastyana.

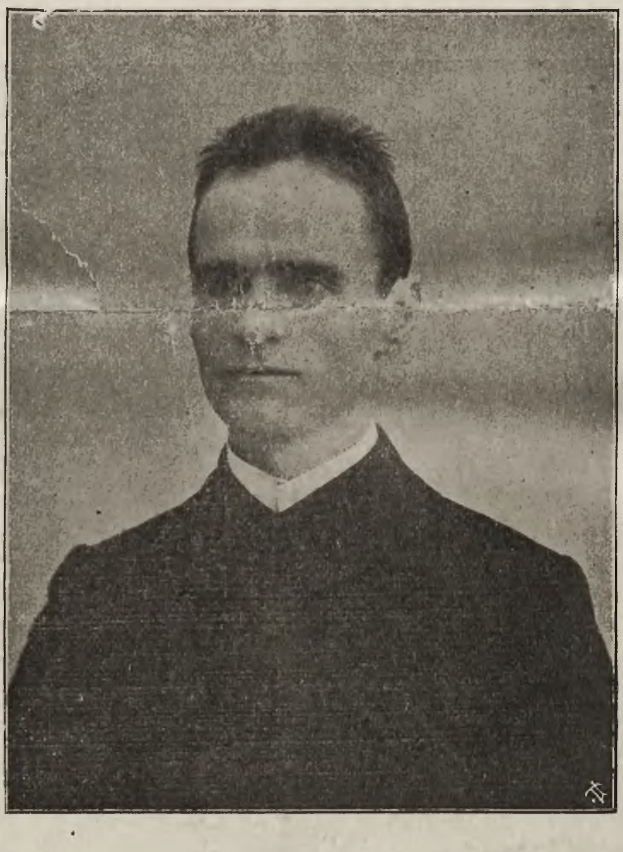
Przybywszy do łaźni parę minut przed siódmą, zażądał kąpieli, zaznaczając, że woda ma być bardzo ciepła. Służący łazienny Józef Mróz, otworzył mu kabinę, przyrządził kąpiel, przyniósł potrzebne przedmioty, jak ręcznik, prześcieradło, oraz na żądanie gościa butelkę wody giesbüblerskiej i jabłko. O godzinie wpół do dziewiątej zażądał Angelus szklanki wody, którą mu służący podał przez drzwi, pytając, która godzina. Dowiedziawszy się, że już pół do dziewiątej, odrzekł głośno: „A więc czas, bym sobie już poszedł“. Nie wyszedł jednak więcej. Po chwili usłyszał bowiem służący głuchy huk strzału, a otworzywszy drzwi kabiny zobaczył Angelusa, leżącego głową w wodzie wanny, a dolną częścią ciała wspartego na marmurowych schodach wanny. Woda w wannie stawała się coraz czerwieńszą od upływającej krwi, która obryzgała sofę i podłogę.

Strzał, skierowany w prawą skroń, rozsadził czaszkę tak, że mózg rozprysnął się aż po ścianie. Angelus strzelił do siebie już po wykąpaniu się i ubraniu, stojąc przed lustrem. Po śmierci stoczył się do wanny, z której go służący Mróz z maszynistą łaziennym wydobyli i ułożyli na sofie.



Nowy węg. minister rolnictwa: Baron Artur Feilitsch nowy węgierski minister rolnictwa. (Treść na str. 7).

Angelus był widocznie na śmierć przygotowany. Ubrał się bowiem w nowy, czarny, anglezowy garnitur, śnieżny gors i czarny krawat. Na stoliku pod lustrem zostawił dwa listy, jeden do żony, drugi otwarty. W tym ostatnim żalił się, że został wciągniety w nieszczęście przez szajkę lichwiarzy, a za to muszą cierpieć jego dzieci. Znać jednak z tego listu, że był silnie rozdrażniony, kiedy go pisał.



Fot. Jabłoński. Kraków.
Sejm galicyjski: Poseł ks. Andrzej Szponder.

Na miejsce wypadku przybył pierwszy, zamieszkały w pobliżu lekarz dr. Friedman i ten zastał Angelusa, dającego jeszcze słabe znaki życia. Przybyły w chwilę później dr. Bernacikowski, zastał już trupa. Ciało przeniesiono do domu przedpogrzebowego na cmentarzu.

Zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru illustracya przedstawia chwilę, w jakiej znalazł rysownik nasz kabinę, natychmiast po spełnionem samobójstwie.



Sejm galicyjski: Poseł Franciszek Kramarczyk.

Sejm galicyjski.

IV. Centrum.

Z kolei przychodzi nam zająć się gronem posłów, stanowiącem w Sejmie galicyjskim centrum. Należą tu posłowie t. zw. katolicko-ludowi.

Podzielić ich należy na dwie grupy, zaznaczając równocześnie, że żadna z tych grup nie jest właściwie zorganizowaną. Do grupy pierwszej należą włościanie z Galicyi zachodniej: Franciszek Kramarczyk, Stanisław Potoczek i Wojciech Szwed— do drugiej posłowiek-księża: ks. Andrzej Szponder, ks. Adam Wesoliński i ks. Antoni Wilczkiewicz.

Z pomiędzy posłów grupy pierwszej najwybitniejszym jest p. Kramarczyk. Zasiada w sejmie jako zastępca kuryi gmin wiejskich w powiecie bialskim. Człowiek to o zdolnościach znacznych, mówi płynnie i potoczyście, a dla spraw swego powiatu bezsprzecznie zasłużony. Cechuje go zbytnia lojalność wobec rządu zarówno, jak wobec „wielmożnych panów“, o których się inaczej nie wyraża. Stąd częste polemiki między nim, a ludowcami, zwłaszcza p. Stapińskim, który znowu tych „wielmożnych panów“ nazywa poprostu „obszarnikami“.

Obok niego zasiada p. Stanisław Potoczek. Posłuje z ziemi nowosądeckiej. Okręg ten, jego rozwój i dzieje w ostatnich latach — to dzieje p. St. Potoczka i jego brata Jana. Obaj oni są twórcami osobnej partyi politycznej, znanej pod nazwą „Potoczkowców“. Organem tej partyi jest „Związek chłopski“. W nazwie tej mieści się i wyznanie wiary politycznej. „My są chłopi“ — oto dewiza Potoczkowców. Ta ekskluzywność partyi, zresztą wcale nie radykalnej, stała się też przyczyną, że Potoczkowcy nie stali się partyą poważną, z którąby się liczono. W ruchu ludowym odegrali oni jednak rolę wcale niepoślednią.

Poseł z Żywca, Wojciech Szwed, wiekiem i majątkiem z pomiędzy tej trójcy najpoważniejszy, postać o rysach ogromnie charakterystycznych, ogranicza się w swej działalności sejmowej do rozmaitych interpelacyj i wniosków drobniejszej natury.

W grupie drugiej najwybitniejszą i najsympatyczniejszą postacią jest ks. Andrzej Szponder. Niski, szczupły, o rysach ostrych, o bystrych i żywych oczach, zdradza już na pierwszy rzut oka temperament zgoła nie przeciętny. Takim też jest w swej działalności. Pracuje nietylko w sejmie. Znaną jest jego praca jako wydawcy „Obrony ludu“, pisemka wychodzącego w Krakowie, a w wielu sprawach zajmującego stanowisko bardzo stanowcze, nawet radykalne.

Ks. Antoni Wilczkiewicz, słodki, ckliwy, pozyskał sobie smutną sławę swą walką z powszechnie szanowanym i cenionym ludowcem Jakóbem Bojką, którego też przy ostatnich wyborach, przy pomocy znanych sztuczek wyborczych „zwalił“.

Ks. Adam Wesoliński, redaktor „Gazety Niedzielnej“, wybrany został dopiero niedawno, przed paru miesiącami, nie miał tedy czasu zaznaczyć swej działalności, która będzie dla sejmu niewątpliwie dodatnią.

Zaznaczyliśmy już, że ani trzej wyżej wymienieni włościanie, ani księża, nie tworzą odrębnych, zorganizowanych klubów. Działalnością swą jednak i stanowiskiem, w całym szeregu spraw zgodnem, spowodowali, iż uważa się ich wszystkich za środek izby, za centrum.

W numerze dzisiejszym podajemy portrety pp. Kramarczyka, Potoczka i ks. Szpondra.

Ustąpienie dyrektora Fr. Próchnickiego.

Z szczerym żalem przyjęto we Lwowie wiadomość, iż wielce na polu pracy pedagogicznej, literackiej i obywatelskiej zasłużony dyrektor gimnazyum piątego, Franciszek Próchnicki, ustąpił z początkiem bieżącego roku szkolnego ze stanowiska przez się zajmowanego.

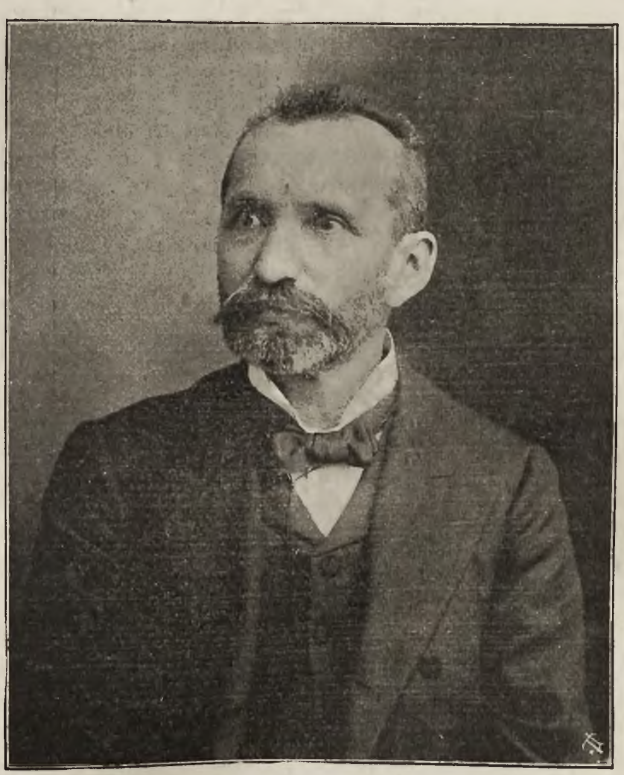
Dyr. Próchnicki, ur. w r. 1847 w Brzeżanach,



Sejm galicyjski: Poseł Stanisław Potoczek.

tam ukończył gimnazyum, poczem przeniósł się na uniwersytet lwowski, który ukończył pod kierunkiem Antoniego Małeckiego. Jako akademik, brał żywy udział w ruchu młodzieży i był w r. 1869 prezesem czytelni akademickiej. Wnet potem rozpoczął pracę nauczycielską, na polu której tak wielkie, tak niespożyte położył zasługi. Pracował najprzód w Brzeżanach, początkowo jako suplent, a następnie jako nauczyciel, od r. 1874 zaś widzimy go we Lwowie w gimnazyum Franciszka Józefa, na stanowisku profesora literatury polskiej i filologii klasycznej, dalej na stanowisku kierownika filii tego gimnazyum, w końcu, gdy z tej filii w r. 1892 utworzono samoistne gimnazyum V, na stanowisku dyrektora w tym zakładzie. Sterany wyczerpującą pracą pedagogiczną, a jeszcze bardziej przykrą pracą administracyjną, z nowym rokiem szkolnym ze stanowiska swego ustąpił, z tego stanowiska, gdzie przez szereg lat tak wydatnie dla dobra zakładu, dla dobra młodzieży pracował.

A nie ograniczał się dyr. Próchnicki na pracy nauczycielskiej. Nazwisko jego zostanie przekazane literaturze naszej, jako nazwisko autora mnóstwa bardzo cennych prac. Niepodobna tu wymieniać wszystkich tytułów dzieł, które wyszły z pod pióra dyr. Próchnickiego, tem bardziej, że prócz kilku niepośledniej wartości rzeczy z działu krytyki literackiej, jak „Kilka słów o genezie i znaczeniu Farysa“, „O sonetach krymskich, jako lekturze szkolnej“, jak „Rozbiór pieśni masek w Maryi Malczewskiego“ — wydał on moc całą prac treści pedagogicznej, oraz podręczników szkolnych. W tym dziale najważniejszemi są: „Plan nauki języka polskiego w gimnazyach galicyjskich i instrukcye dla nauczycieli tego przedmiotu“ — praca nieocenionej wprost wartości, dalej „Wzory poezyi i prozy“, podręcznik używany w klasie V szkół średnich, a przez wszystkich pedagogów za znakomity uznany. A dalej wspomnieć należy o całym szeregu „wypisów“, dla wszystkich prawie klas gimnazyalnych, oraz o tak wśród młodzieży popularnych „ćwiczeniach łacińskich“. O wartości tych prac świadczy już ta okoliczność, że prawie



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.
Ustąpienie dyrektora Fr. Próchnickiego: Dr. Franciszek Próchnicki, dyrektor gimnazyum Franc. Józefa we Lwowie.

wszystkie doczekały się trzech, a nawet czterech wydań.

Nie mniejsze zasługi położył dyr. Próchnicki na polu pracy obywatelskiej. Był więc przez kilka lat członkiem zarządu głównego tow. pedagogicznego, był od samego założenia członkiem wydziału tow. nauczycieli szkół wyższych, a przez parę lat jego wiceprezesem, należy też od lat kilkunastu do zarządu tow. pomocy naukowej, które wybudowało i utrzymuje bursę polską im. Kościuszki. W tem ostatniem towarzystwie piastuje od kilku miesięcy godność prezesa. Nie na tem koniec. Dyr. Próchnicki był przez kilka lat członkiem rady szkolnej okręgowej zamiejscowej we Lwowie, a od r. 1902 jest członkiem rady miejskiej i członkiem rady szkolnej miejskiej.

Człowiek to więc ogromnej pracowitości, bo dodać trzeba, iż wszystkie swe obowiązki spełnia z bajeczną sumiennością. Charakter czysty, jak kryształ, umysł jasny i trzeźwy, cieszący się też ogólnem poważaniem i czcią, a przez młodzież był wprost uwielbiany. Nic dziwnego też, że ustąpienie tego męża ze stanowiska dyrektora gimnazyum, przyjęto ze smutkiem, a pociechą w tem jest tylko nadzieja, że dyr Próchnicki, porzucił ten jeden dział pracy, aby tem intenzywniej pracować na innych polach.

Dyrektor Próchnicki żyć będzie długo w pamięci tych, którzy kończyli gimnazya, lub szkoły realne. Podręczniki szkolne, przez niego ułożone, odznaczają się przedewszystkiem gruntowną znajomością omawianego przedmiotu, jasnością i praktycznością, tak, że nauka na tych podręcznikach oparta, musi przynieść pożądane skutki, a nie powoduje przeciążenia uczniów, którzy z tych podręczników bardzo łatwo mogą się najtrudniejszych nauczyć przedmiotów. Jeżeli zważymy, że w dziedzinie pedagogii mamy bardzo mało fachowych prac, że dyr. Próchnicki dziełami swemi położył, rzec można, podwaliny pod naukę pedagogii u nas, wtedy zasługi jego ukażą się nam dopiero w całem świetle. Społeczeństwo nasze nie umie ocenić należycie pracy jednostki, jak to się już nieraz okazało.



Rewolucya w Rosyi: Walka robotników z wojskiem w Warszawie przy palącym się dworcu kolei warszawsko-wiedeńskiej. (Treść na str. 15).

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

23 (Ciąg dalszy).

— Dobrze, kochana, to zależy od ciebie.

— Bolcew widząc, że Olga usiadła przy ciotce i nie tańczy polki, szepnął rotmistrzowi Lednoj, by przeszedł z nim do pokoju, gdzie był bufet, urządzony dla panów. Nalawszy dwa kieliszki szampańskiego, poniósł je na mały stoliczek w rogu pokoju i mówił przyciszonym głosem:

— Wasyl Antonowicz, przecież ty mój przyjaciel, mój druh i brat.

— Sprawiedliwie mówisz, Fiodor Fiodorowicz, serce ci oddałem, to i duszę oddam, powiedz, czego chcesz? Zabieraj wszystko.

— Wasylu Antonowiczu, liczyłem na ciebie, no, i nie zawiodłem się.

— Toż wstyd byłoby mi światu się pokazać... ja twój brat, licz na mnie.

— Najpierw napijmy się — trącili się kieliszkami.

— Mów, lżej ci będzie — zachęcał Lednoj.

— Zwierzę ci się.. jestem zakochany do szaleństwa... po prostu rozum tracę...

— Iii — zaśmiał się Lednoj — to nie żadne nieszczęście. Ty umiesz chodzić około kobiet, jesteś młody i zuch, każda zakocha się w tobie, chciej tylko.

— Ba, chcieć, to chcę, cóż, gdy przystępu niema... ty jeden poratujesz.

W głowie rotmistrza Lednoj błysnęła myśl nagle, że Bolcew zakochał się w Sudkiewiczowej i żąda, aby mu jej ustąpił. Nie, tego byłoby za wiele, ona dziś tak ślicznie wyglądała, tak się tuliła do niego w tańcu. Spochmurniał też i odpowiedział dyplomatycznie:

— Fiodor Fiodorowicz, jeśli tu idzie o mnie tylko, wszystko zrobię!... Lecz zrozum, że nie mam prawa rozporządzać trzecią osobą

— I w tem bieda, Wasylu Antonowiczu, że tu idzie o trzecią osobę... powiesz kilka słów dobrych, zaprotegujesz, ot, ja szczęśliwy człowiek i do końca życia nie zapomnę ci tego.

— Wiesz co, bracie — rzekł Lednoj — z tobą naprawdę źle... ot, napijmy się wina.

Podszedł do wielkiego stołu, wziął nadpoczętą butelkę, wrócił, nalał kieliszki. Wypili.

— Otóż widzisz, przyjacielu, powiesz ty Irenie Pawłowiczównie — mówił o pani Sudkiewicz — dobre słowo za mną, przecież mnie znasz jako człowieka honorowego i uczciwego...

— Fiodor Fiodorowicz, czyś ty zwaryował? Czy ona moja? Czy do mnie należy?

— Pi, jaki z ciebie przyjaciel — kiwał głową z politowaniem żałosnem — to mówiłeś, że serce mi oddasz, duszę swoją... a takiej drobnostki odmawiasz.

— Ej, chyba ty pijany?! — zawołał Lednoj. — Ty nazywasz to drobnostką?

— Dla mnie, to życie — mówił Bolcew — a dla ciebie kilka słów dobrych, to nic; czy to taki, ból, upokorzenie?

— No, no, tak ty ze wszystkiem zgłupiał...

— Prawdę powiedziałeś, ja za Olgą Aleksandrowiczówną świata nie widzę.

— Co? — krzyknął ucieszony Lednoj — jaka Olga Aleksandrowiczówna? Czy ta jej siostrzenica?

— Ta sama, bracie — westchnął.

— A cóż ja ci mogę pomódz?... Mów! Rozporządzaj mną!

— Kiedy odmawiasz...

— Nie odmawiałem, słowo honoru... wiesz, słowo wiatr, ot i powiedziałem, abyś się opamiętał i mówił porządnie. Więc co mam zrobić?

— Ty dobrze jesteś z Ireną Pawłowiczówną. Ona ciebie poważa i twoje słowo ma u niej znaczenie.

— Może i tak jest, nie wiem — uśmiechnął się i podkręcił jasne wąsy.

— Już ja wiem, toż ona oczy ma tylko dla ciebie... A widzisz, ona jest ciotką Olgi Aleksandrowiczówny, ona może przemówić za mną, dobrze usposobić dziewczynę... Czy potrzebuję ci tłómaczyć? Czy nie wiesz, co może kobieta zrobić, jeśli tylko zechce? Jeśli wie, że zrobi tem przysługę temu, na kim jej zależy?

— Rozumiem teraz... ale nie zapominaj, że Olga Aleksandrowiczówna ma ojca.

— E, z ojcem dam sobie radę, a nie zechce pozwolić, to zmuszę; w tem moja głowa.

— Ano, zrobię to dla ciebie, tyś mój przyjaciel i brat. Czy dziś mam pogadać?

— Dziś??... Wiesz, Wasylu Antonowiczu, my wojskowi, my zmamy się na strategii i taktyce — uśmiechnął się — ty powiesz jej dobre słowo o mnie... gdy będziecie sam na sam.. a dziś uprzedź ją tylko, że poproszę, aby mi pozwoliła złożyć im wizytę i bywać u nich.

— Zgoda! Zuch z ciebie!... Ale nie sądziłem, że u ciebie taka gorąca krew! Ot, zobaczył, zakochał się na zabój i gotów na wszystko — zaśmiał się.

— U mnie krew gruzińska, bracie, ja w piekło pójdę a swego dopnę, jak idzie o kobietę.

— A ona ładna! — cmoknął ustami Lednoj.

— Co to ładna! — zawołał Bolcew lekceważąco — powiadam ci, niczem królowa, jaki majestat, powaga, a oczy! Ach te oczy, oszaleć można! I te włosy jej, czyste złoto!

— No, no, aleś zakochany — śmiał się Lednoj.

— I wiesz, ten pokraka, ten błazen Płazow, który był już raz pod śledztwem za niehonorową grę, on śmie umizgać się do niej!

— Co ty mówisz?! Płazow był pod śledztwem?! — zdziwił się.

— Tak jest. Usunął w sztosie jedną kartę... tłómaczył się, że był pijany a szło o grubą stawkę. My wiemy coś o tem, jakie to było pijaństwo! — zaśmiał się sucho. — No, ten jeden raz uwierzyli... ale wpadnie mi on w ręce, potańcuje on! — i zwykle tak ładna, przyjemna twarz przybrała wyraz dzikiej surowości.

Lednoj zauważył ten wyraz twarzy, nalewając kieliszki:

— Nie chciałbym być twoim wrogiem.

— Ja, Wasylu Antonowiczu, serdeczny człowiek, miękki, ale jak kocham, to bez pamięci, a jak nienawidzę, to także. I jeszcze jedno, wiesz, przyjacielu, szepnij Irenie Pawłowiczównie, ale aby i Olga Aleksandrowiczówna posłyszała, że ten Płazow to gracz, lampart i traci majątek, jakby mu kto płacił za to.

— Bądź spokojny, już ja się znam na polityce i powiem swoje... A teraz jeszcze po kieliszku i do roboty!

Na trzeci dzień po zabawie, rotmistrz żandarmski Bolcew, wyświeżony, w mundurze galowym, zadzwonił do mieszkania Sudkiewiczów.

— Są panie w domu? — spytał po polsku.

— *Tak toczno, wasze wysokoje błagorodije* — odpowiedział lokaj Jan.

— *Da ty ruskij czełowik* — uśmiechnął się, dał mu rubla i wręczył bilety. — Zanieś do pań!

— *Słuszajus!*

Za chwilę był z powrotem, zdjął płaszcz szeroki, długi, t. zw. mikołajewski, z bobrowym kołnierzem i poprosił rotmistrza do salonu.

Wkrótce wyszła pani w jasno fioletowym, eleganckim, koronkami ubranym szlafroczku i podała rękę:

— Miło mi powitać pana.

— Przyszedłem się dowiedzieć o zdrowiu pań i złożyć moje uszanowanie.

Zaczęła się rozmowa banalna o pogodzie, karnawale.. Rotmistrz posępniał i co chwila oglądał się na drzwi przy każdym szeleście.

— Pozwoli pan, że zajrzę do Olgi.

— Ależ bardzo proszę.

Zastała ją nad książką.

— Oldziu, wyjdź do salonu, on przecież nie dla mnie tu przyszedł — uśmiechnęła się — wyjdź... wypada.

— Tak mi się nie chce, ciociu, tak nie chce.

— Więc przymuś się, to trudno i obowiązki towarzyskie są obowiązkami, które spełniać należy.

— I o czem będę z nim mówiła?

— Taki oficer żandarmeryi wie dużo ciekawych rzeczy.

Olga wstała szybko z krzesła, przypomniała sobie swą służbę w partyi a taki żandarm może się z czemś wygadać, trzeba iść i rozmawiać.

— Za chwilę, ciociu tylko się przyczeszę.

Gdy weszła do salonu, rozjaśniła się twarz Bolcewa i ściskając podaną rękę, szepnął:

— Słońce weszło.

— O, z pana pochlebca — uśmiechnęła się pani — i niebezpieczny człowiek.

— Jakto niebezpieczny? Przecież jestem stróżem bezpieczeństwa, i kto ze mną, temu włos z głowy nie spadnie.

— Jeśli będzie co nam groziło, oddamy się pod opiekę pana.

— Będę szczęśliwy.

— Ależ ciociu, cóż może nam grozić? Tutaj, w tym spokojnym kraju?!

— Pani, panno Olgo, mówi spokojny kraj — uśmiechnął się z lekką ironią — jeśli spokój panuje, to tylko dzięki nam... ale w kraju wrze, wiemy o tem. Jacyś fanatycy, zwaryowani ludzie, buntują spokojny naród, rzucają proklamacye, obiecują złote góry, tworzą tajemne związki.

— No, proszę — plasnęła pani w białe, wypieszczone ręce — dzieją się takie rzeczy, a my nic nie wiemy.

— O, o wielu rzeczach my tylko wiemy — uśmiechnął się z dumą.

— Ale wie pan, mam tu dużo znajomych Polaków, rozmawiałam często o polityce i żadnemu nie śni się o powstaniu. Zanadto dużo ucierpieliśmy w roku 1863, aby teraz miało się powtórzyć.

— I ja jestem zdania cioci... nikomu nie śni się powstanie niemożliwem zresztą wobec broni dzisiejszej. Możemy ciociu spać spokojnie, pan rotmistrz zażartował i to nieładnie przerażać kobiety — kończyła wymówką.

— Zażartowałem... chciałem przerazić... — uśmiechnął się z ironią. — Najpierw nigdy z pań nie pozwoliłbym sobie żartować, a tem mniej przestraszać. To, co mówiłem, jest niestety prawdą. Socyaliści szerzą swe zasady zbrodnicze, przewrotne, i znajdują posłuch w ciemnej masie robotników.

— Słyszałam coś o socyalistach — mówiła Olga, spoglądając na rotmistrza — ale nie znam ich zasad.

— Ich zasady są bardzo proste: odrzucają religię, władzę, prawo, nie chcą znać własności żadnej i panować powinni robotnicy.

— Ależ to okropne — oburzyła się pani — tych tępiłabym bez żadnego miłosierdzia. Nawet religię odrzucają?

— Opowiem paniom anegdotę, ona najlepiej charakteryzuje socyalistów. Pyta się chłop drugiego, co to jest nihilista? A tamten, co ich znał, powiada: Nihilista mówi: dusza? to komórka; rodzonego ojca po zębach? można; Boga niema; cara niema; ot ich zasady — śmiał się.

— A, nihiliści! Znam ich z procesu — zawołała pani — to straszni ludzie! Chwała Panu Bogu, że u nas niema zamachów.

— Prawda, ciociu... to dziwne!

— I w Polsce nigdy nie będzie — rzekł rotmistrz — oni się wykrzyczą, wyhałasują i koniec. Zaś ruski człowiek zawzięty, ten swego nie daruje, ale tych nihilistów od zamachów już wyłapano wszystkich i spokój jest.

— No, a socyaliści? — spytała Olga.

— I tym poradzimy. Rząd niczego nie zaniedbuje, aby spokój panował.

— Ach, jak jabym chciała widzieć socyalistę prawdziwego! — zawołała pani.

Olga spojrzała na nią drwiąco, lecz szybko spuściła powieki.

— Idź pani do fabryki, wśród robotników znajdzie ich pani na pewno.

— Ale nie tych zwykłych, ale ich przewódców, tych, którzy są na czele.

— Tacy się ukrywają.

— A pan ich widział, znał?

— Od czasu do czasu trafi się taki... Ale szkoda słów tracić na takie rzeczy... czy idą panie na włoską operę?

— Jeszcze nie wiem...

I potoczyła się rozmowa o nowinkach dnia, o bliższych i dalszych znajomych, o skandalikach w ich świecie.

Po jego wyjściu, ciotka, biorąc bilet do ręki, powiedziała:

— Zauważyłaś, Olgo, on przyszedłszy do nas, oddał bilety francuskie... to delikatność wielka i znacząca.

— Pilnuje się tylko form światowych.

— On tego nie robi bez zamiaru.

— Nic u nas nie wyśledzi — powiedziała Olga dość szorstko.

— Nie mówię o tem... ale widocznie podobałaś mu się... trzeba przyznać, że on przystojny i elegancki.

— Ale zawsze żandarm.

— Prawda... gwardya stoi wyżej... Idę, Olgo, do miasta, mam kilka sprawunków, może pójdziesz ze mną?

— Nie, ciociu, zostanę w domu.

W kilka dni Bolcew zaproszony zjawił się około ósmej wieczorem, jak zawsze uśmiechnięty i wystrojony.

Tym razem przyjęła go pani znacznie serdeczniej, aniżeli poprzednio. Z powodu zajęć, gospodyni zostawiła go z Olgą, a przy kolacyi z wielką starannością dbała o niego, podsuwając mu potrawy i pełne kieliszki.

Domyślił się Bolcew wpływu Lednoja i czuł wielką wdzięczność.

Stosunek jego z Olgą w niczem się nie zmienił od czasu zabawy. Nie rozczulały jej zachwyty, uwielbienia, wypowiadane przez niego w mniej lub więcej wyraźnych aluzyach, a gdy zaczynał mówić o swoich uczuciach, zmieniała zręcznie temat rozmowy, nie dozwalając mu na jaśniejsze wypowiedzenie.

Dyplomatka z niej, pomyślał, a widząc, że naleganiem i bezpośredniem wyznaniem swej miłości nie uzyska wzajemności, postanowił zmienić taktykę. Zaprzestanie narzucania jej swych uczuć i stopniowo będzie zdobywał jej sympatyę, ufność i przyjaźń. Otoczy ją swoją uwagą, pamięcią, względami, całą siatką pajęczą swej miłości. Nie będzie teatru, koncertu, wizyty, aby nie spotkała jego zakochanych oczu.

Stosownie do tego postanowienia, badał tego wieczoru jej zamiłowania i co ją najbardziej interesuje.

Dopytywał się w rozmowie o ulubione jej kwiaty, o zamiłowanie do książek, poezyi, muzyki, śpiewu...

Odebrał odpowiedzi tak ogólnikowe, tak osłonięte szczelnie formułkami towarzyskiej grzeczności, że nie otrzymał żadnych wyraźnych wskazówek.

Zamyka się przedemną na zamki wertheimowskie, rozmyślał z goryczą, ale dobiorę klucza, nie takie już zamki otwierałem.

Przy sposobności spytał panią Sudkiewicz, uważając ją za swego sprzymierzeńca względem siostrzenicy:

— Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, co lubi panna Olga, czem mógłbym jej zrobić przyjemność?

— O, z pana gorąco kąpany człowiek — uśmiechnęła się — nagłe szturmy nie zawsze prowadzą do zwycięstwa.

— Ja też o tem nie myślę... tylko ona tu obca w Warszawie... chciałbym w czemkolwiek przyczynić się, aby się jej tu podobało. Wiem, że jej u cioci doskonale, ale nie gardź pani i moją ofiarą.

— Byle pan nie żądał wysokiej nagrody — zaśmiała się — ale co do Olgi, to sama nie wiem... to takie dziecko, wszystko ją bawi i cieszy.

— Ale co szczególniej?

— Nie wiem... zbadaj pan sam.

— Bardzo dobra rada — ucałował jej rękę — na zbadanie trzeba czasu i sposobności; pozwoli mi pani często bywać... i widzieć obie panie?

— Wątpię, czy panu na mnie zależy? — uśmiechnęła się.

— Ależ nadzwyczajnie! Pani zastępuje jej matkę... czy pozwoli mi pani przychodzić od czasu do czasu?

— Gość jest zawsze u nas mile widziany.

— Dziękuję pani — znów ucałował jej rękę.

W czasie kolacyi, wśród rozmowy, rzekł Sudkiewicz z miną ważną:

— Mówiono mi dziś, że generał gubernator był bardzo oburzony, gdy przedłożono mu odezwę partyi przewrotu. Polecił wydanie surowego rozkazu gubernatorom, aby schwytanych z odezwą od ylać natychmiast do Warszawy i wyznaczył nagrodę trzystu rubli za schwytanie głównego podżegacza, rozrzucającego te odezwę.

Rotmistrz uśmiechnął się lekko i spytał spokojnie:

— Czytałeś pan tę odezwę?

— Nie... ale mówiono mi, że wzywa wprost do powstania.

— Co ty mówisz, Pierre?! — zawołała pani — i dlaczego mi nic nie powiedziałeś o tem?

— To nie żaden bal, ani raut — uśmiechnął się drwiąco — to rzecz urzędowa.

— Ależ tu idzie o bezpieczeństwo nas wszystkich! Twoje referaty nudzą mnie, to prawda — ale inna rzecz... powstanie!

— A tak pani upewniała — zaśmiał się rotmistrz — że nikt nie myśli o powstaniu!

— Czy istotnie odezwa wzywa do powstania? — spytała Olga, patrząc na Bolcewa, siedzącego naprzeciw.

To pytanie, zwrócone do niego, pochlebiło mu, jako dowód, że ona wierzy, iż on ma najlepsze wiadomości i uśmiechnięty skinął głową:

— Zaraz opowiem — dając jej tem do zrozumienia, iż tylko dla niej to robi. — Odezwa, która bardzo słuszn e oburzyła generał-gubernatora, znaną mi jest dobrze. Nie wzywa ona bezpośrednio do powstania, ale obiecuje powstanie. Żałuję, że nie mam tego świstka przy sobie, mam kilka egzemplarzy u siebie...

— I może mi pan dać? — spytała Olga.

— Najchętniej.

— Przyszlę jutro rano Jana — dodała pani — chcę widzieć również.

— Cóż mówi ta proklamacya? — odezwał się Sudkiewicz, popijając wino.

— Wydział P. P. S., co znaczy: polska partya socyalistyczna — patrzał na Olgę, zaznaczając, że tylko dla niej mówi — usprawiedliwia się, że nie wzywa dotychczas do karania zbirów moskiewskich, to jest nas — uśmiechnął się i palcem dotknął swych piersi — gdyż nie przyszła chwila stanowcza, ale niebawem nadejdzie, a tymczasem niech oczyszczają fabryki i całą ludność od szpiegów i ajentów naszych.

Olga, zaraz po pierwszych słowach, poznała odezwę, przemyconą przez Helenę i nie interesowała się treścią, lecz siliła się zachować krew zimną.



— A tak pani upewniała — zaśmiał się rotmistrz — że nikt nie myśli o powstaniu.

— A widzisz, Pierre, to nie powstanie! — tryumfowała pani.

— Zaczyna się od szpiegów — odrzekł obojętnie — a skończy się na powstaniu.

— No, tak źle nie będzie — zaśmiał się rotmistrz — po nitce dojdziemy do kłębka... i sprowadzenia winnych do Warszawy, to nasz plan... poplączą się w zeznaniach i nitkę schwycimy.

— Czy zaszły już jakie wypadki ze szpiegami? — spytała pani.

— Dotychczas były trzy zabójstwa: dwa w Łodzi a jedno tutaj.

— Biedne ofiary — westchnęła pani.

— Ale dobrze płatne — zaśmiał się rotmistrz — i każdy z nich wie, co go czeka.

— Czy schwytano morderców? — spytała Olga.

— Wzięto kilku podejrzanych, są poszlaki.

Olga odetchnęła swobodniej i zwracając się do Bolcewa:

— Jutro otrzymam odezwę?... a innych pism pan niema?

— Interesuje to panią?

— Tak jest. Tyle nasłuchałam się zagranicą o socyalistach, że byłabym wdzięczną panu, gdyby mi pan ułatwił zaznajomienie się z ich działalnością.

— I na co ci to? — wzruszył ramionami Sudkiewicz, wykałając zęby po mięsie.

— Interesuje mnie to podziemne życie — powiedziała Olga dość obojętnie.

— Jeśli pani zechce poznać ich robotę krecią — uśmiechnął się rotmistrz — ofiaruję się chętnie na nauczyciela... kiedy pani każe przyjść na lekcyę?

— To zależy od pana... nie chcę zbyt dużo czasu panu zajmować, bo pewnie pan bardzo zajęty.

— Dla pani mam zawsze czas — skłonił się — a swoją drogą nasza służba jest ciężka, ciągłe rozjazdy. Onegdaj byłem w Żyrardowie, a jutro do Łodzi.

— Zatem jutro nie będzie lekcyi — uśmiechnęła się Olga.

— Niestety, służba — westchnął. — Jadę wprawdzie po drugiej, ale rano nie mogę trudzić pani.

— Jeśli nie jest niedyskrecyą — odezwała się pani — czy wolno wiedzieć, w jakim celu do Łodzi?

— Ach, jakie te kobiety ciekawe — zaśmiał się Sudkiewicz — ależ Reno, to tajemnica urzędowa... rozumiesz?

— Nie ucz mnie, Pierre. Wyraźnie się zastrzegłam, jeśli nie jest niedyskrecyą.

— Tym razem mogę zadowolić ciekawość pani. Mój podwładny, którego wysłałem na śledztwo, już był na tropie głównego agitatora i zgubił ślad. Jadę mu pomódz.

— Jakiego agitatora? — spytała Olga z niewinną a zaciekawioną miną.

— Rozdającego te odezwy, o których mówiłem. W Łodzi jest skład główny.

Wszczęła się rozmowa ożywiona o stosunkach urzędniczych, o awansach, translokowaniach, dymisyach, orderach, których to słów cudzoziemskich używano z całą przyjemnością i zrozumieniem.

Gdy wreszcie Bolcew wyszedł, ciotka, doglądając sprzątania, mówiła po francusku:

— Wiesz, Olgo, ten rotmistrz jest jednak bardzo przystojny. Przypatrzyłam mu się dzisiaj... i jaką ma rękę arystokratyczną!

— Nie zauważyłam tego szczegółu — uśmiechnęła się — ale jest przystojny

— I jakie oczy robi do ciebie!

— Krępuje mnie tem śledzeniem.

— On jest w tobie śmiertelnie zakochany.

— Co szybko przychodzi, szybko mija.

— Ale przyznaj, że ci to robi przyjemność.

— Ani ziębi, ani grzeje, to obojętne dla mnie. Moskal, żandarm, nie ciociu, za wiele dobrego na jedno danie.

— Mówiąc tak — westchnęła — czynisz mi bolesny zarzut, że ja poszłam za prawosławnego... zważ tylko, Oldziu, że ja nie pierwsza i nie ostatnia; takich Polek jest mnóstwo. Wierz mi, wierz memu doświadczeniu, że niema w Polsce lepszych mężów, aniżeli Moskale. Oni czują naszą wyższość pod każdym względem i każde nasze dobro słowo uważają za łaskę.

— Nie miałam cioci na myśli... zresztą mojem zdaniem, religia, wyznanie, nie powinny odgrywać tak wielkiej roli w naszem życiu; to rzecz osobistych przekonań.

— Jakże mnie to cieszy — zawołała uradowana i zbliżywszy się, ucałowała Olgę — sądziłam, że ty, jak tylu innych, potępiasz mnie za moje zamążpójście. Ale ty jesteś wyższa, szlachetniejsza, a przedewszystkiem rozumniejsza od tych gąsek polskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wzorowa mleczarnia w Krakowie: Ogólny widok mleczarni wraz z wozami, wyjeżdżającymi z mlekiem na miasto.

Wzorowa mleczarnia w Krakowie.

Z pośród mleczarń krakowskich wyróżnia się na pierwszy rzut oka iście europejską okazałością mleczarnia dóbr Łuczanowice, własność hr. Władysława Mycielskiego. Założona przed dziesięsię laty, była ta mleczarnia jedyną, posiadającą wozy, rozwożące mleko po mieście. Ten zwyczaj, przyjęty z zachodu, okazał się ogromnie praktycznym, bo daje mieszkańcom nawet odleglejszych przedmieść Krakowa sposobność nabywania o każdej porze produktów mleczarskich. Prawdziwy rozwój mleczarni datuje się od roku 1902, w którym zarząd jej objął p. Józef Barański, dzisiejszy jej dyrektor. Ponieważ ówczesny lokal przy ul. Karmelickiej okazał się za szczupły, właściciel zakupił lokal po dawnym browarze p. Jana Goetza, przy ul. Podwale. Kierownictwo przebudowania dawnego lokalu browarnianego objął p. Barański i wywiązał się z zadania znakomicie. Dzisiejsza mleczarnia jest urządzoną według wszelkich wymagań hygieny i nowoczesnej techniki mleczarskiej. Dnia 1 lipca b. r. odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie nowej mleczarni.

Przypatrzmy się technicznej stronie tego przedsiębiorstwa.

Lokal jest bardzo obszerny. Hala aparatowa wysoka na dwa piętra, wyłożona do 2 metrów taflami porcelanowemi. Podłoga z tafli kamionkowych, umożliwia utrzymanie hali w ciągłej czystości, co, jak wiadomo, jest w przedsiębiorstwie tego rodzaju rzeczą konieczną. W tej sali umieszczone są baseny, wirówki, chłodniki, pasteuryzatory, maślnice i pompa do mleka. Tu jest główne miejsce przerabiania nabiału. W ubocznych salach jest maślarnia, myjarnia, basenownia i wydawalnia towaru. Mleka dostarcza do mleczarni 35 folwarków. Zaraz po przyniesieniu stwierdza się w mleku zawartość tłuszczu i ciężar gatunkowy. Nabiał nie odpowiadający przepisom ustawy, wycofuje się. Po skonstatowaniu jakości, wlewa się mleko do basenu o pojemności 1500 litrów, przyczem przechodzi przez sita, celem usunięcia ewentualnych materyi stałych. Z tego basenu wypompowuje się mleko do basenu regulacyjnego skąd przechodzi na pasteuryzatory—następnie, albo na centryfugi przerabiające 2000 lit. na godzinę, albo na filter—wreszcie na chłodniki gdzie oziębia się do temp. 3—6° C.

Wszystkie aparaty poruszane są parową maszyną, umieszczoną w osobnej hali. Oprócz tych ubikacyi znajduje się przy mleczarni serownia, lodownia, mieszkanie dyrektora i personalu, oraz łazienka.

W oddzielnej, specyalnie w tym celu urządzonej ubikacyi, wyrabia się pod ścisłą kontrolą lekarza, mleko zdrowotne dla dzieci.

Obok mleczarni urządzony jest sklep, gdzie można nabywać wszystkie produkty mleczarskie. Sklep ten komfortem i czystością dorównuje najlepiej urządzonym sklepom tego rodzaju za granicą. Jednem słowem można powiedzieć, że mleczarnia Łuczanowicka jest pod każdym względem instytucyą wzorową.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografie, przedstawiające ogólny widok mleczarni z wozami wyjeżdżającymi z nabiałem na miasto, wnętrze hali aparatowej, oraz wnętrze sklepu głównego.



Wzorowa mleczarnia w Krakowie: Wnętrze sklepu głównego mleczarni łuczanowickiej przy ulicy Podwale.

Banda fałszerzy monet.

Zapewne pamiętają Czytelnicy z poprzednich numerów naszego pisma historyę aresztowania bandy fałszerzy 50-koronówek. Wiadomo, że falsyfikaty, acz po mistrzowsku niemal wykonane, zwróciły uwagę władz kompetentnych i śledczej policyi, pewną nieznaczną niedokładnością w napisie—i po nitce do kłębka — udało się władzom przyaresztować posiadaczy wszystkich zapasów falsyfikatów. Po pierwiastkowem zbadaniu złoczyńców i ich zeznaniach wyszło na jaw, że główne ognisko zbrodniczej szajki jest w Londynie, a głową stowarzyszenia jest żydek galicyjski, niejaki Nuchim Schapira. Na żądanie Austryi przyaresztowała policya londyńska herszta tej międzynarodowej bandy fałszerzów i pomysłowy oszust znajdzie się niebawem przed kratkami sądu karnego we Wiedniu.

Zdawałoby się, że na tem się afera skończyła. Bynajmniej! Sieci snute przez oszusta londyńskiego, rozpościerają się daleko, daleko po całej niemal Austryi i Węgrzech. Sieci te subtelne i trudne do spostrzeżenia, a wpadło w nie wielu naiwnych, niedoświadczonych i zbałamuconych — narażając się na niechybną stratę, ba! nawewet utratę wolności i dobrego imienia! Dość powiedzieć, że agitacyą zbrodniczą — prócz Wiednia objęte zostały miasta Budapeszt, Lwów, Kraków, Czerniowce, Debreczyn, Przemyśl, Tarnów, Stanisławów, Krosno, Lisko, Kaszów, Stryj i Marmarosz.

Schapira posiadał całą, wzorowo zorganizowaną bandę, której każdy członek posiadał specyalną misyę i zakres działania. Na miejscu w Londynie miał wyborne wyszkolonych podrabiaczy, którzy przygotowywali „towar“ do zbycia na rynkach miast austryackich. Drugą kategoryą byli emisaryusze, którzy fałszywe pieniądze „rozprowadzali“ po Węgrzech i Galicyi. Trzecią zaś dykasteryę stanowili ludzie udający ajentów policyjnych. Ci w drodze, na stacyach kolejowych, presyą i postrachem — wymuszali na posiadaczach falsyfikatów — zwrot ich i ponadto sute „łapówki“, byle tylko w spokoju ich zostawiano. Nic dziwnego, że wobec tak sprytnie pomyślanej organizacyi — zbrodnicze machinacye łotrów dłuższy czas bezkarnie się udawały. Ale wszystko ma swój koniec. I końca tego doczekała się firma „Schapira“ et Co.“ W Stanisławowie aresztowała policya „emisaryusza“ Judę Lajba Katza, we Lwowie Moryca Parnesa i jego szwagra Friedmana, a w Kołomyi handlarza starzyzny Izaaka Szymonowicza.

I w Krakowie, dzięki czujności władz administracyjnych — przedewszystkiem zaś zdolności inspektora policyjnego Bronisława Karcza — odkryto i zdemaskowano i dalszych — kto wie? może nie ostatnich — aktorów międzynarodowego oszukańczego dramatu.

P. Bronisław Karcza wpadł mianowicie na trop dalszych wspólników tej niebezpiecznej szajki.



Abraham Begleiter.



Józef Stecuła.



Loebel Süsche.

Przyaresztował on mianowicie agentów handlowych Süscha Löbla i Abrahama Begleitera, którzy wszedłszy w bliższe stosunki z londyńskim herszte
m – podjęli się dostarczać stale odbiorców na falsyfikaty i w tym celu odbywali specyalne inspekcyjne podróże po Galicyi.

Löbel i Begleiter — dowiedziawszy się snać z gazet, że fałszerzy monet aresztowano w Londynie — zniszczyli sporą ilość falsyfikatów w obawie wykrycia przez władzę ich wspólnictwa. To jednak, co z zakazanych „zapasów“ zostało – wystarczyło w zupełności do stwierdzenia niewątpliwej winy oszustów. Obydwaj nowo aresztowani znajdują się już w śledczem więzieniu sądu karnego w Krakowie. Rozprawa odbędzie się przed karnym trybunałem we Wiedniu, dokąd wszyscy zbrodniarze dostawieni zostaną.

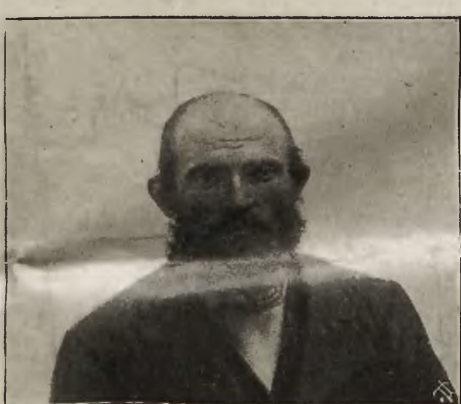
Zbrodnia popełniona przez Schapirę i S-kę krzywdzi w małej stosunkowo części skarb państwa. Przy milionowych i miliardowych obrotach rządowych kapitałów — „fiscus“ nie odczuje nawet straty. Odczują ją za to tem dokliwiej ci, którzy dali się usidłać, lub nieświadomie wpadli w sidła niecnych ludzi. Stracili bowiem i gotówkę, a w wielu wypadkach narazili się na hańbiące więzienie i śledztwo.

W numerze niniejszym — jako uzupełnienie artykułu — podajemy podobizny z podpisami zbrodniarzy aresztowanych w różnych miastach Galicyi.

Nowy węgierski minister rolnictwa.

W przesileniu węgierskiem nastąpił teraz nowy zwrot. Wszystkie dotychczasowe sposoby i środki, jakich używał rząd, aby albo zgnieść zwycięską opozycyę, albo też na podstawie wzajemnych ustępstw utworzyć rząd węgierski z jej łona, spełzły na niczem. Ani Korona, ani opozycya, nie ustąpiły nic ze swych żądań. Przesilenie przybrało więc charakter jawnej, otwartej walki między Koroną a opozycyą. Korona chwyciła się ostatniego środka, jaki jej ewentualnie może przynieść zwycięstwo. Wysłała mianowicie do Budapesztu powtórnie barona Feyerwary'ego, który ma za pomocą reformy wyborczej, mianowicie przez powszechne, tajne, bezpośrednie prawo głosowania, zwyciężyć opozycyę. Feyerwary spodziewa się, że wybory na powszechnem prawie głosowania oparte, osłabią znacznie szeregi opozycyi; dopuszczenie bowiem do wybierania szerokich mas ludu, dotąd tego prawa pozbawionych, musi spowodować wybór nowych ludzi, nowych żywiołów, które nie będą się solidaryzować z partyą niezawisłości. Czy rachuby Feyerwary'ego się spełnią, niewiadomo. Opozycya bowiem ma za sobą cały naród i z nowych wyborów spodziewa się wyjść w jeszcze większej sile.

Gabinet Feyerwary'ego ma więc przed sobą nową walkę. Cała skoalizowana opozycya będzie przeciw niemu, tem bardziej, że Feyerwary powołał na ministra rolnictwa osobistość przez wszystkich posłów znienawidzoną, mianowicie barona Feilicza. Baron Feilicz, który przedtem zasiadał w prezydyum Perczela, był twórcą i głównym organizatorem straży parlamentarnej, która pamiętnego dnia 13 grudnia z. r. rozpędziła opozycyj-



Hersch Szymonowicz.



Abraham Szymonowicz.



Mojżesz Parnes.



Lewi Bachman.



Sala Fisch.



Józef Baumgarten.



Juda Leib Katz.



Jakób Weidenfeld.



Pinkas Friedmann.

Banda fałszerzy monet.



Uroczystość Kościuszkowska w Brodach: Artyści lwowskiego teatru ludowego.

nych posłów w parlamencie. Że baron Feyerwary do skompletowania swego gabinetu powołał właśnie tego męża, dowodzi to, że w przesileniu zaszedł gruntowny zwrot. Mianowanie bowiem barona Feilicza ministrem rolnictwa, ma wobec opozycyi charakter wprost wyzywający.

Baron Feilicz jest człowiekiem stosunkowo jeszcze bardzo młodym, liczy bowiem dzisiaj lat 46. Podczas całej swojej, zresztą bardzo szybkiej karyery urzędniczej, zwracał na siebie szczególną uwagę znajomością leśnictwa, był też przez szereg lat naczelnikiem urzędu leśniczego w Siedmiogrodzie, mianowicie w Klausenburgu. Na tem stanowisku pozyskał sobie popularność, więc go wybrano posłem do parlamentu w roku 1899 W parlamencie zdołał w krótkim czasie zdobyć sobie takie poważanie, że go wybrano wiceprezydentem Izby. Po zajściach z 13 grudnia i rozwiązaniu parlamentu, kandydował Feilicz w komitacie biharskim, w okręgu Margitta, ale wskutek nienawiści, jaką na siebie ściągnął zorganizowaniem straży parlamentarnej, nie został wybrany, gdyż zwyciężył go kandydat partyi niezawisłości, Szatmarin. Gabinet Feyerwary'ego zyskuje w nim człowieka nieustraszonej energii, ale jest rzeczą pewną, że opozycya zwalczać go będzie z całą siłą na każdym kroku.

W numerze dzisiejszym podajemy portret barona Feilicza.

Uroczystość Kościuszkowska w Brodach

Każdy patryotyczny objaw w społeczeństwie, jest wyrazem życia i istnienia danego narodu. Oddając cześć mężom, którzy czy to piórem, czy orężem przyczynili się do rozszerzenia sławy ojczystej, społeczeństwo daje temsamem dowód swego pietyzmu, który znamionuje ludy prawdziwie kulturalne. Na kartach historyi naszej widnieje co krok, niby gwiazdka promienna, nazwisko męża, który gieniuszem swoim wzbił się wysoko nad przeciętny poziom i pozostawił dla potomnych przykład, jak mają żyć, aby ojczyźnie przynieść chwałę, a społeczeństwu pożytek. Postacie te, w naszej historyi, jaśnieją nieskalaną czystością ducha, wielkością i potęgą, a wielkość ich jest dla nas, dzisiaj jęczących w kajdanach pod trzema zaborami, pociechą i ukojeniem w wielkiej „narodowej nocy“, jaka się nad nami, niby skrzydła upiora rozpięła. Patrząc na tych bohaterów narodowych, rozpamiętując ich dzieła i czyny, przekonujemy się, że w istocie prawdą być muszą słowa wieszcza: „Upaść może i naród wielki, zginąć tylko nikczemny“. A naród nasz przez tych właśnie wielkich bohaterów, stał się wielki i nosi w sobie nieśmiertelność. Naród, który miał Koperników, Sobieskich, Kościuszków, Poniatowskich, upaść nie może. Obchody uroczyste ku czci tych mężów pokrzepiają ducha narodowego i dodają nam sił do walki. Tembardziej godnem jest uznania, jeżeli takie obchody urządzane bywają na kresach, tam, gdzie martwe słupy graniczne stanowią nieprzebytą zaporę między swobodą uczuć i czynów, a surowem zakazem wszelkiej wolnej myśli.

Przed kilku dniami urządzono w Brodach uroczystość Kościuszkowską w ośmdziesiątą ómą rocznicę zgonu nieśmiertelnego bohatera z pod Racławic. Ku podniesieniu uroczystości w niemałej mierze przyczynił się lwowski teatr ludowy, który zjechał do Brodów na piękny wieczór dramatyczny.

Salę Towarzystwa muzycznego, gdzie się odbył



Zjazd kobiet polskich w Krakowie: Uczestniczki zjazdu kobiet, zebrane przed magistratem, gdzie się odbywały obrady. Fot. E. Pierzchalski. Kraków.



Uroczystość Kościuszkowska w Brodach: Grupa artystów lwowskiego teatru ludowego w kostyumach z „Okrężnego“.

wieczorek, ozdobiono dużym obrazem nieśmiertelnego jenerała w sukmanie, otoczonym zielenią. Najpiękniejszą jednak ozdobą była zebrana nader licznie publiczność, wśród której przeważała młodzież szkolna. Artyści odegrali z precyzyą i nad zwyczajną starannością „Warszawiankę“ Wyspiańskiego, oraz „Okrężne“ Korzeniowskiego. Szczególne zajęcie obudziła „Warszawianka“, ten prześliczny poemat, a racze pieśń, jak ją autor zatytułował, tchnący taką miłością ojczyzny i poezyą. Grę artystów, pod każdym względem wyborną, nagradzano rzęsistymi oklaskami. Wieczór ów pozostawił w duszach słuchaczów niezatarte nigdy wrażenie.

Załączamy obok illustracye przedstawiające grupę artystów z „Warszawianki“, oraz z „Okrężnego“.

Zjazd kobiet polskich w Krakowie.

Ruch emancypacyjny, zmierzający do wyzwolenia kobiet ze szranek, w jakich się dzisiaj znajdują, do wywalczenia kobiecie tych samych praw, jakie ma mężczyzna, ogarnął w ostatnim lat dziesiątku i całą Polskę. Jeżeli gdziekolwiek indziej emancypacya kobiet jest potrzebną, to w naszem społeczeństwie zwłaszcza jest ona wprost konieczną. Bo u nas przedewszystkiem w narodzie niewolników, potrzeba wytężonej pracy, aby pokrzepić i potrzymywać ducha narodowego w społeczeństwie, które się już zżyło z niewolą, w którem myśl zdobycia wolności słabem zaledwie odbija się echem. Tu trzeba wydatnej pracy na każdem polu, trzeba współdziałania mężczyzn z kobietami. A tylko przez zrównanie praw kobiet z prawami mężczyzny da się to współdziałanie osiągnąć. Kobiety nasze, kobiety Polki, mają być nietylko kapłankami ogniska domowego, ale one muszą walczyć i walkę tę w młode wpajać umysły. Stanowisko ich zatem jest u nas ogromnie ważne. Samo pilnowanie kuchni nie wystarcza, nasze kobiety muszą żyć i myśleć ciągle o tem, że my zawsze jesteśmy w walce, muszą więc i między nemi ścierać się poglądy i przekonania i one muszą brać czynny udział w życiu społecznem, co dotychczas było przywilejem wyłącznym mężczyzny. Czy walka o tę prawa, jaką podjęły kobiety u nas, czy sposób jej prowadzenia, a raczej charakter tej walki jest dobry, czy nie, przesądzać nie będziemy. Zauważyć jednak musimy, że każdy ruch społeczny z początku zatacza zbyt szerokie kręgi, dopóki się nie skrystalizuje w jeden silny, pewny i określony strumień, który prostą drogą dąży do celu. U nas ruch kobiecy nie dawno się zaczął, musiał więc wywołać o sobie najsprzeczniejsze sądy. Nie można mu jednak odnowić dwóch rzeczy: że był pożyteczny i w każdym razie potrzebny.

W ubiegłym tygodniu odbywał się w Krakowie przez cztery dni pierwszy Zjazd kobiet polskich. Wzięło w nim udział przeszło 200 kobiet, między niemi p. Daszyńska-Golińska, Moszczeńska, znane z działalności literackiej, Bujwidowa, dr. Estera Golde znana agitatorka socyalistyczna i szereg innych. Obrady zjazdu odbywały się w sali obrad magistratu, a obejmowały szereg referatów na temat aktualnych, piekących kwestyi, dotyczących ruchu emancypacyjnego kobiet. Z pośród referentek wybijały się szczególnie p. Daszyńska, dr. Estera Golde i p. Turzyma. Zjazd miał charakter socyalistyczny, co było główną przyczyną że w Krakowie nie cieszył się zbytnią sympatyą. Między innemi uchwalono rezolucyę, żądającą równego, bezpośredniego, powszechnego prawa głosowania. Rezolucyę tę wręczyła imieniem Zjazdu p. Turzyma marszałkowi krajowemu, hr. Badeniemu.

W ogólności zaznaczyć należy, że obrady miały przebieg bardzo poważny i zasługiwały na szersze zajęcie się zjazdem. — Uchwalono następny Zjazd urządzić w roku przyszłym w Warszawie.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię przedstawiającą uczestniczki zjazdu, zebrane przed bramą magistratu.

Jubileuszowy zjazd techników w Krakowie.

Najmilsze wspomnienia dla człowieka, to wspomnienia z lat, na ławie szkolnej spędzonych. To też corocznie urządzane bywają zjazdy dawnych uczniów, którzy przed kilkunastu laty ukończyli pewne szkoły razem.

Po skończeniu nauk rozeszli się bowiem wszyscy w różne strony, na zjazdach odświeżają więc dawne znajomości i wspomnieniami dawnych dni krzepią duszę na dalszą walkę.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Krakowie zjazd techników, którzy przed laty 30 ukończyli szkołę techniczną w Krakowie. Szkoła ta była pewnego rodzaju wyższą szkołą realną; rząd przekształcił ją później na politechnikę i przeniósł do Lwowa.

W zjeździe wzięło udział przeszło 30 byłych uczniów szkoły i dwóch żyjących jeszcze profesorów. Rano przyjmował przybyłych na zjazd poseł Rotter w domu przy ul. Gołębiej, gdzie się dawna technika mieściła. Po zebraniu towarzyskiem i zwiedzeniu miasta, byli wieczorem uczestnicy zjazdu na przedstawieniu w teatrze miejskim, poczem udali się do sali saskiej, gdzie odbył się bankiet. Wśród niezwykle serdecznego nastroju przemawiali pp. Winkler, Rotter i inni.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię uczestników zjazdu, zebranych na podwórzu biblioteki Jagiellońskiej pod pomnikiem Kopernika.



Wzorowa mleczarnia w Krakowie: Wnętrze hali aparatowej. (Treść na str. 6).



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Jubileuszowy zjazd techników: Uczestnicy zjazdu, zebrani na dziedzińcu biblioteki Jagiellońskiej pod pomnikiem Kopernika.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

6 (Ciąg dalszy).

— Zdarza się także nieraz — ciągnął dalej komisarz — że zbrodniarz część swojej zdobyczy ukrywa w pewnem, z góry oznaczonem miejscu, aby w ten sposób skierować podejrzenie na inne, niewinne osoby.

Owinął znowu zegarek i pierścień w papier i schował to wszystko napowrót do woreczka.

— Ten rezultat naszych poszukiwań — rzekł — świadczy najwymowniej, że ów anonim podał do wiadomości policyi rzeczywiście prawdę.

— I cóż będzie dalej? — zapytał hrabia.

— Teraz musimy z całą energią postarać się o rozwiązanie pytania: „Kto jest mordercą?“ — ażeby niewinnie skazanym zwrócić ich honor i cześć.

— Sądzisz więc rzeczywiście, że rządca Bernere...

— Nie sądzę, ale teraz jestem mocno przekonany, że ten nieszczęśliwy człowiek padł rzeczywiście ofiarą pomyłki sądowej.

— Rzeczywiście?

— Ktoby teraz jeszcze o tem wątpił, ten chyba musi być ślepym, albo też rozmyślnie nie chcieć uwierzyć prawdzie.

Obydwaj zwrócili się ku drzwiom.

Nagle hrabia chwycił się oboma rękami za głowę.

— Kto — jednak kto jest mordercą mojego stryja?! — jęknął.

— To się tak nie da — odrzekł poważnie komisarz — zaraz po wstępnem śledztwie szukać odpowiedzi na to pytanie.

— A czy sądzisz, że zbrodniarz rzeczywiście zostanie odkryty?

— W to nie wątpię.

— Może masz już na oku osoby, które ci się wydają podejrzanemi?

Komisarz potrząsł głową przecząco.

— Nie mówmy teraz o tem! Ja ci zaręczam, że najbliższa przyszłość odchyli zasłonę, za którą zbrodniarz dziś jeszcze się ukrywa.

Pochwycił hrabiego za rękę i ciągnął dalej:

— Musisz mi dać słowo, że o tem, co tutaj znalazłem, zachowasz jak najgłębsze milczenie, bo inaczej musiałbym żałować, że cię wtajemniczyłem w tę sprawę.

— Daję słowo, że będę milczał.

— Słowo honoru?

— Tak, słowo honoru.

Podali sobie ręce.

— Teraz chodź, mój przyjacielu!

Odsunęli rygiel i opuścili izbę z wesołym uśmiechem i głośną rozmową, jakgdyby się tam wewnątrz byli wspaniale bawili.

Za chwilę pędzili już na koniach ku zamkowi. Na twarzach ich rozsiadła się powaga przykrych wydarzeń, jakich byli świadkami.

VIII.

Podejrzenie zwraca się w właściwym kierunku.

Stary hrabia Mironeau był od dłuższego czasu w złym humorze.

Ten brzemienny swoją treścią list, jaki przez tyle lat leżał w skrytce jego biurka, otworzył mu nagle oczy i odsłonił przed nimi coś, w czem mógłby doskonale poznać tajemnicze zmiany losu, gdyby w swej zapamiętałości nie stał się prawie głuchym na wszystkie zrządzenia Opatrzności.

Teraz wiedział, że jego jedyny syn się ożenił, a ożenił się z córką ludzi, których on dla swej żądzy złota poświęcił.

Wobec takiego stanu rzeczy nie miał się co dziwić, że hrabia Jan stanowczo odrzucił jego projekt, aby się żenił z Wilmą. A ten jego opór można było, jak sądził, jedynie w ten sposób przełamać, że się młodą jego żonę sprzątnie ze świata.

— Muszę ją znaleźć, choćby mnie to nie wiedzieć ile miało kosztować.

Takie powziął postanowienie, nie przeczuwając nawet, jak blisko niego była ta, o której on sądził, że jest daleko.

Było to wieczór tego samego dnia, kiedy hrabia Jan wraz komisarzem zwiedzali stary folwark.

Stary hrabia siedział w swojej kancelaryi, gdy mu zameldowano leśniczego Tareau, który się stawił na specyalne żądanie hrabiego.

— Przypomina pan sobie — rzekł doń hrabia, patrząc nań posępnym wzrokiem — co panu swego czasu rozkazałem odnośnie do tej młodej kobiety, która u pana leżała chora?

- Tak jest, jaśnie panie!

— No więc, cóż powiedziałem?

— Że mam uważać, aby z leśniczówki nie znikła.

— Tak jest! A pan wypełniłeś rozkaz?

Leśniczy wzruszył ramionami.

— Wiedziałeś pan, że zależy mi na tem, ażeby nie uciekła, ale pan i pańska żona zapomnieliście o obowiązku i pozwoliliście jej zbiedz. Usprawiedliwiaj się pan, jeśli pan potrafisz!

— Kobieta ta oszukała nas, jaśnie panie, bo będąc już zupełnie zdrową, udawała tak słabą i schorowaną, że trudno było uwierzyć, iż może się przejść z miejsca na miejsce.

— I dlatego nie zwracaliście na nią najmniejszej uwagi?

— Tak ja, jak i moja żona, mamy zajęcie, ja służbę, ona gospodarstwo, niepodobna więc było, ażebyśmy dniem i nocą siedzięli i stróżowali chorą — uniewinniał się leśniczy.

— Ach, co tam! — zawołał hrabia opryskliwie. — Ja panu daję służbę, ja panu płacę, moje rozkazy zatem są najpilniejsze!

Szybkim krokiem przechadzał się po komnacie. Wreszcie stanął przed leśniczym.

— Wiesz pan przynajmniej, dokąd się udała, albo gdzie się teraz obraca?

— O tem nie mam pojęcia, jaśnie panie.

— Kiedyż uciekła, we dnie, czy w nocy?

— Prawdopodobnie koło północy, kiedy w domu wszyscy spali.

— Mogła uciec sama?

— Nie; pomógł jej młody pan hrabia.

— Skąd pan wiesz o tem?

— Sam mi to później powiedział.

Hrabia znowu począł chodzić po pokoju. Wreszcie stanął przed leśniczym i rzekł:

— Teraz ja panu coś powiem. Że ta kobieta uciekła, to pańska wina, pan więc musisz się o to postarać, aby ją odnaleźć.

— Ależ, jaśnie panie...

— Milczeć i nic nie mówić! — syknął hrabia. — Daję panu trzy dni czasu; jeżeli w przeciągu tych trzech dni nie znajdziesz pan tej zbiegłej sroki, to stracisz pan miejsce i musisz się wynieść z leśniczówki w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

— Panie hrabio! — zawołał leśniczy przerażony, ale w tej chwili przerwał mu nielitościwy starzec.

— Za drzwi, marsz! — zawołał rozkazująco, wskazując mu drzwi. — Jest alternatywa: albo pan w przeciągu trzech dni dostawisz mi tutaj tę kobietę, albo pan dostaniesz dymisyę.

Dziki wyraz wściekłości, przemocą hamowanej, odbił się na twarzy starego leśniczego; nie ozwał się jednak, jeno zacisnął zęby, mrucząc:

— Czekaj, stary łotrze, twoja godzina także nareszcie wybije, może prędzej, jak sam myślisz.

Kiedy przechodził przez kurytarz, zastąpił mu drogę lokaj w liberyi, który się wysunął z po za stojącego obok filaru.

Był to jego syn, Jan.

— No, jakże się ojciec z nim rozszedł?

— Piekielnie źle — mruknął stary.

— Dlaczego?

W kilku słowach opowiedział mu leśniczy, co zaszło.

— Ponieważ zaś niemożliwą jest rzeczą, kobietę tę odnaleźć — kończył — więc jutro już mogę zacząć się pakować.

Oczy Jana błyszczały złośliwie, jak oczy kota.

— Porzuć te myśli, mój ojcze i uspokój się.

— Trudno być spokojnym, jeżeli się jest zmuszonym na starość pozostać bez chleba i iść na nędzę i głód.

— A ja powtarzam: bądź dobrej myśli! — szeptał Jan. — Przygotowują tu rzeczy, które spowodują na zamku kolosalne zmiany.

Głos jego brzmiał jak syczenie żmiji, kiedy dodał:

— Dni tyrana są już policzone!

Obrócił się i rozglądnął naokoło.

Komisarz Brepont zaraz po kolacyi udał się do swego pokoju. Ból głowy, jakim się usprawiedliwiał, był tylko wymówką, bo nigdy może nie czuł się zdrowszym, jak teraz, kiedy, zamknąwszy się w pokoju, zabierał się do roboty. Popołudniu już wysłał swemu szefowi krótkie sprawozdanie z rezultatu swego śledztwa. Teraz zaczął na wielkim arkuszu opisywać szczegółowo przebieg swych poszukiwań.

Wtem przestał pisać i wyjął z szufladki biurka znany nam już woreczek. Rozwinął papier, w jaki woreczek był owinięty i położył zdobycz na stole.

Wzrok jego zatrzymał się mimowoli na papierze. Był to kawałek jakiegoś pisma paryskiego z przestarzałymi wiadomościami, które już nikogo dzisiaj nie mogły interesować. A jednak na twarzy urzędnika znać było jakieś febryczne drżenie, kiedy oczyma przebiegał ten zadrukowany świstek. Nagle krzyknął ze zdumienia, utkwiwszy oczy na kilku literach, napisanych wybladłym już atramentem na brzegu papieru. Litery te tworzyły słowa: „Do pomocnika rządcy Pommon'a“.

Uwagę tę zrobił zapewne urzędnik pocztowy, oznaczając w ten sposób adres abonenta.

— Pomocnik rządcy, Pommon, kto to może być? — szeptał Brepont.

Ukrył twarz w dłoniach i zatopił się w myślach.

— Mam, mam! — zawołał nagle, powstając. — W aktach procesu o zamordowanie hrabiego, które mi dano do przeglądnięcia, nazwisko Pommon nieraz się powtarzało. Pommon — taż to był główny świadek, który zeznaniami swemi spowodował skazanie obojga podejrzanych!

Znowu wpił oczy w litery.

— Zrobiłem cenne, bardzo ważne odkrycie; te cztery słowa będą punktem wyjścia owych nici, które nas zaprowadzą do prawdy.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Komisarz schował prędko wszystko do szuflady, wstał i podszedł ku drzwiom.

— Kto tam?

— Ja — Jan.

Brepont otworzył drzwi, a do pokoju wszedł młody hrabia.

— Cóż cię do mnie tak późno sprowadza? mój kochany Mironeau?

Hrabia nic nie odpowiedział. Westchnął tylko i usiadł w fotelu.

— Przyjacielu, jakże ty wyglądasz? — zawołał prawie przestraszony. — Jesteś chory i musisz się natychmiast położyć. Macie tu gdzie jakiego lekarza?

Hrabia zaprzeczył ruchem ręki.

— Tak, tak, ja jestem chory; ale na moje cierpienie niema lekarstwa.

I znowu westchnął ciężko.

— Powiedz mi wreszcie, co ci brakuje?

Hrabia zerwał się, podszedł do okna i przycisnął czoło do zimnych szyb. Komisarz patrzył nań, potrząsając głową.

W jego rozpalonej głowie, którą teraz chciał gwałtem ochłodzić, prawdopodobnie zaświtał już promień prawdy.

Jan wydał jakiś stłumiony krzyk i powrócił na swoje miejsce. Brepont począł się na seryo bać o niego. Przysunął swój stołek do jego i chwycił go za ręce.

— Jesteśmy przyjaciółmi, Janie, i na tę naszą przyjaźń, na to święte a czyste uczucie, jakie nas od lat tylu łączy, zaklinam cię, bądź wobec mnie szczery, zaufaj mi. Duszę twoją przygniata troska, to widoczne, powiedz mi więc, co ci brakuje, wyjaw przyczynę twego smutku.

Hrabia ukrył znowu twarz w dłoniach. Zdawało się, że młode jego ciało drżało całe od wewnętrznej walki. Dopiero po długiej chwili uspokoił się, ale był zmieniony do niepoznania. Muskuły jego twarzy jakby zamarły, oczy zapadły się w głąb — postarzał się o dziesięć lat.

— Adolfie — rzekł — to przecie straszna rzecz, jeśli człowiek chce umrzeć, a jednak musi żyć, musi, ażeby...

— Chciałeś mówić, ażeby się dowiedzieć, jak podejrzenie o zbrodnię morderstwa zwraca się we właściwym kierunku i skupia na jednej osobie, którejby się nigdy nie uważało za zdolną do takiej zbrodni.

Tym zwrotem chciał Brepont ułatwić nieprzyjacielowi wyznanie, które musiało spaść z jego serca, jeśli to serce nie miało zginąć pod jego ciężarem.

— Czy nie zgadłem? — zapytał Brepont po krótkiej chwili.

— Co takiego?

— Że przeczuwasz prawdę.

— Jaką prawdę?

— Tę, która ci rzuca światło na tajemnicę zbrodni.

Jan uśmiechnął się dziwnie.

— Po co tak objeżdżać?! — wykrzyknął nagle. — Powiedz bez ogródek to, czego nie może wypowiedzieć mój język. Powiedz! Mów!

— Co?

— Że bystry twój umysł odkrył już człowieka, który przed laty szesnastu —

Urwał znowu w połowie zdania.

— Popełnił zbrodnię — dokończył Brepont.

Jan zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie? Więc cóż?

— Chciałem powiedzieć: popełnił... bra... — bratobójstwo!

Powiedziawszy to, uczuł, że mu z serca spadł jakiś ciężar, gniotący go jak kamień młyński; usunął się w róg sofy i utkwił wzrok w dali.

Brepont dotknął się jego ramion.

— O czem myślisz? — rzekł. — Czem zajęte są twoje myśli?

— Bratobójstwem! — odpowiedział Jan zimno i prawie apatycznie.

— Że tu coś takiego zachodzi, w to niema co wątpić. Jednak powiedz mi, co cię skłoniło do rzucenia podejrzenia w tym kierunku?

— Dzisiejsza nocna wycieczka spowodowała mnie do myślenia nietylko o samem morderstwie, ale i do rozważenia wszystkich, towarzyszących temu okoliczności. Nasunęło mi się więc przedewszystkiem pytanie: Jeżeli skazani nie popełnili zbrodni to musiał być ktoś, komu na tem zależało, aby mego stryja zgładzić ze świata. Kto to był?

— I jaką odpowiedź znalazłeś na to pytanie?

— Z początku pozostawiłem je bez odpowiedzi i starałem się wyszukać w myśli wszystkie motywy, jakie go mogły skłonić do zbrodni.

— Rządca Bernere i jego żona zostali skazani z powodu morderstwa dla rabunku, należało więc wziąć pod uwagę żądzę złota jako motyw zbrodni.

— Stryj mój miał jednak wtedy przy sobie bardzo małą sumkę, o czem mordercy absolutnie wiedzieć nie mogli.

— Dobrze!

— Dowiedziałem się niedawno, że ojciec mój był wtedy ogromnie zadłużony i że mu groziła ruina. Brat jego, który powracał do ojczyzny, był milionerem; sporządził on testament, który pod pewnymi warunkami zapewniał memu ojcu zarząd jego majątkiem. Jeżeli się zestawi te dwie okoliczności, to musi przyjść na myśl, że ojciec mój mógł pożądać tego majątku, zważywszy wszystkie okoliczności, które go do tego skłoniły.

Otarł ręką czoło, zroszone potem.

— Mój ojciec bratobójcą! Panie! Czemuś mi pozwolił dożyć godziny, w której się o tem dowiem?!

— W każdym razie ojciec twój sam morderstwa nie popełnił.

— Ale z pewnością kogoś do morderstwa namówił, a przez to stał się zbrodniarzem.

— Nie masz jednak pozytywnych dowodów, że twój ojciec był sprawcą zbrodni?

Jan potrząsł głową

— Ja ich nie potrzebuję; sąd mój w tej sprawie jest już ustalony.

Z piersi jego wydobywały się ciężkie westchnienia.

— Nie mam już ojca, nie mam rodziny, nie mam domu ani majątku. Wszystko mi porwał los, wszystko, co mi mogło osłodzić życie, co memu sercu było zawsze drogie. Jestem teraz nędzarzem, biedniejszym od ostatniego wyrobnika w całem hrabstwie!

Brepont patrzał ze współczuciem na nieszczęśliwego przyjaciela. Wiedział, że boleść go złamała i że na taki ból niema lekarstwa.

— I cóż myślisz począć? — zapytał wreszcie hrabiego.

— W sprawie morderstwa — nic! Mogą władze wypełniać swój obowiązek i wytężyć wszystkie siły, aby odkryć winnego czy winnych; ja będę wobec tego zupełnie bierny.

— Ja myślę, że to będzie najlepiej.

— Zresztą nie mam zamiaru dłużej tu pozostawać; jutro, prawdopodobnie zaraz rano opuszczę to miejsce na zawsze.

— Tegobym ci stanowczo nie radził.

— Dlaczego? — wybuchnął Jan

— Upłynie, zdaje się, kilka tygodni a może nawet miesięcy, zanim śledztwo będzie mogło wydać jakieś konkretne rezultaty.

— I sądzisz, że władze przez ten czas pozostawią ojca na wolnej stopie?

— To już zależy od prokuratora. Zresztą na razie nie można uważać nawet za prawdopodobne, że właśnie twój ojciec będzie oskarżony.

— Ha, więc ty jeszcze wątpisz w to, że...

— Daruj, że ci przerwę. — Jeśliby ten anonim, jako jedyny człowiek, który coś wie o morderstwie, a może i sam morderca, milczał dalej, to prokuratorya nie mogłaby przedsięwziąć żadnych kroków przeciw twojemu ojcu. Kombinacye i przypuszczenia, do pewnego stopnia nawet moralne przekonanie, nie wystarczają jeszcze, aby komuś wytoczono proces, a dopóki tego niema, nie masz najmniejszego powodu do zrywania z ojcem wskutek tej afery. Powinieneś wychodzić z tego punktu i proszę cię, byś tak zrobił.

— Mam więc?

— Masz spokojnie czekać, jaki obrót weźmie cała sprawa. Punktum!

— A cóż będzie z niewinnie skazanymi? Czy piętno morderców zawsze przy nich pozostanie?

— Bardzo możliwe, że się odbędzie rewizya procesu i że po przeprowadzeniu dowodów zostaną uznani za niewinnych.

— Skazani mieli dwoje dzieci, syna i córkę. Jakież te dzieci będą mieć zadosyćuczynienie? Czy ci biedacy, którym fałszywy i niesłuszny wyrok sądowy również zniszczył największe szczęście na ziemi, czy one zostaną w jaki sposób nagrodzone?

Komisarz wzruszył ramionami.

— O tem na razie nie da się nic powiedzieć.



...My przecie nie możemy do siebie należeć i... i... raz musimy się rozstać...

Zresztą zachodzi pytanie, czy one wogóle jeszcze żyją?

— Dlaczegóżby nie miały żyć?

— Jeżeli rzeczywiście jeszcze żyją, to jasna rzecz, że i one wraz z rodzicami otrzymają rehabilitacyę.

— A straty, jakie przez to ponieśli?

— Tych im już nikt nie zwróci. Jako ofiary pomyłki sądowej..

— Muszą dzieci te otrzymać jak najlepsze odszkodowanie — przerwał mu hrabia z ogniem w oczach i po chwili dodał:

— Ja te dzieci wyszukam i będę im obrońcą. Poruszę wszystkie sprężyny, aby nieszczęśliwe mogły przynajmniej w części odzyskać to, co im niegdyś skradziono. To moje stanowcze postanowienie i ja go dotrzymam. Dobranoc!

Wybiegł z pokoju.

IX.

Zasłona spada.

Na drugi dzień Brepont pożegnał się z hrabią a Jan oświadczył, że go odwiezie do stolicy.

— Mam tam pewne sprawy do załatwienia i powrócę prawdopodobnie dopiero za tydzień — rzekł do ojca, podając mu rękę.

Stary skrzywił się.

— Zapomniałeś, zdaje się, że jutro wieczorem mają się odbyć twoje zaręczyny z Wilmą.

— To nie ucieknie — rzekł Jan krótko i odwrócił się od ojca.

Już powóz stanął przed bramą, kiedy nagle przypomniał sobie, że coś w pokoju zostawił.

Lecąc tam, spotkał swoją żonę, która właśnie była na schodach.

Chwycił wiotką, drżącą kobietę w swoje ramiona, a długi, przeciągły całus zamknął im usta.

Na szczęście nie było nikogo w pobliżu, okoliczność sprzyjająca zakochanym sercom, które i tak długo cierpiały pod ciężarem okrutnej konieczności.

— Kiedy powrócisz, Janie?

— Wkrótce, mój skarbie. Najdalej za ośm dni będę tutaj z powrotem.

— W takim razie już mnie tu nie zastaniesz!

Jan przeląkł się.

— Dokądże ty chcesz iść?

— To obojętne. Ja tu przecie nie jestem — i im prędzej stąd pójdę, tem lepiej.

— Lauro, ty nie możesz stąd odejść! — rzwał się błagalnie. — Jabym oszalał chyba, gdybyś mnie po raz drugi opuściła.

Piękne oczy hrabiny zalały się łzami.

— My przecie nie możemy do siebie należeć i — i — raz się musimy rozstać!

Łkając, położyła mu głowę na piersi. Hrabia przycisnął ją czule.

— Żadna moc świata nie zdoła nas rozdzielić, słyszysz? Wolę raczej rozstać się z życiem, jak z tobą, ty najdroższy mego serca skarbie. A teraz przyrzeknij mi, że przed moim powrotem stąd się nie oddalisz!

— Jeżeli będę mogła, to...

— Musisz mi to przyrzec!

— Nie mogę!

— Lauro, zmuszasz mnie, bym odkrył naszą tajemnicę!

Wypowiedział te słowa głośno i z wzruszeniem, żeby więc uniknąć hałasu, przyrzekła mu, że zostanie.

Jeszcze jeden całus, uściśnienie dłoni i każde poszło w swoją stronę.

Nie przeczuwali nawet w jakich okolicznościach po raz drugi się zobaczą.

Zaledwie panowie odjechali, kiedy Ernestyna, stara, gruba gospodyni, weszła do pokoju starego hrabiego. Jako długoletnia zarządczyni jego domowego gospodarstwa, posiadała jego zaufanie, tak, że nawet pomiędzy służbą krążyła wieść, że stary niema przed tą grubą żadnej tajemnicy.

Hrabia skinął głową uprzejmie i ręką zaprosił ją do siedzenia.

Stołek aż zaskrzypiał, kiedy się ten stokilogramowy kolos na nim usadowił.

Jej księżycowa twarz stała w płomieniach; oddychała szybko, jakby ją coś strasznie nieprzyjemnego spotkało.

— No, Ernestynko, cóż ci to, cóż ci to? — zapytał hrabia, który właśnie w tej chwili nie miał najmniejszej ochoty do gadania.

— Nowina, wielka nowina, którą się pan z pewnością zbuduje — wykrztusiła, kręcąc się, jak oparzona.

— Ejże, zaciekawiasz mnie! Cóż się stało?

— Miłostka! — hihihi!

— Co takiego?

— Kochają się! hihihi!

— Kto taki? Pani się kocha? — zapytał z uśmiechem.

C. d. n.

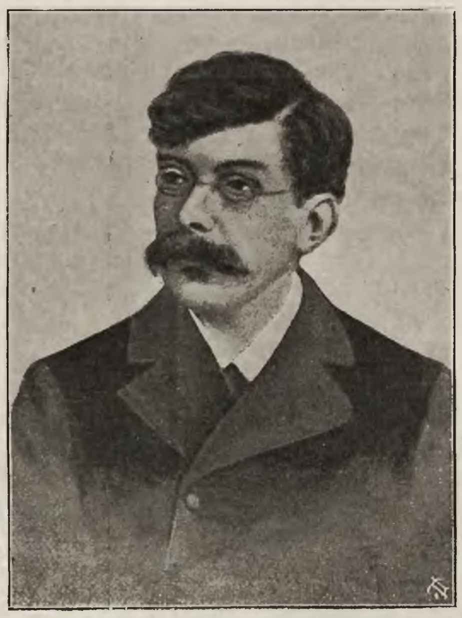
Zwycięstwo socyalistów w Reichenbergu.

W chwili, kiedy posłowie socyalistyczni rozpoczęli w parlamencie walkę o powszechne, tajne, bezpośrednie prawo głosowania, gdy tłumy robotnicze wszystkich krajów austryackich na zgromadzeniach publicznych domagają się reformy wyborczej, gdy demonstracyjnymi pochodami manifestują publicznie, że walki o swe najświętsze prawo, o prawo głosowania, którego są pozbawione, nie przestaną, ale prowadzić ją będą aż do skutku, odnieśli socyaliści w Czechach, w okręgu Reichenberg, świetne zwycięstwo, które może być snadnie dowodem ich siły i potęgi.

Z powodu choroby dotychczasowego posła do parlamentu z Reichenbergu Józefa Hannicha i zrzeczenia się przezeń mandatu, rozpisano nowe wybory z piątej kuryi w okręgu reichenbergskim. Wybory te obudziły w całych Czechach ogromne zainteresowanie, były to bowiem pierwsze wybory piątej kuryi w Czechach, od czasu wrowadzenia bezpośredniego głosowania. To też udział wyborców był niezwykle liczny, przewyższył bowiem cyfrę 50000.

Nacyonalistyczni robotnicy niemieccy wysunęli kandydaturę p. Predigera, który też w samym Reichenbergu uzyskał znacznie więcej głosów, aniżeli kandydat robotników socyalistycznych dr. Wiktor Adler, redaktor wiedeńskiej „Arbeiter-Zeitung". Cała jednak okolica Reichenbergu, zwłaszcza zamieszkałe przez robotników miejscowości fabryczne, głosowały zwartą ławą na dr. Adlera, który we wszystkich okręgach przemysłowych, nawet północno czeskich, jak w Zwickau i Rumburgu, uzyskał przeważającą ilość głosów.

Wskutek niebywale wielkiej liczby wyborców, nie można było ukończyć liczenia głosów w dniu wyboru. Jednak już pierwsze zestawienie głosów z okolic Reichenbergu dowiodło, że dr. Adler zwycięży. Ostateczny rezultat głosowania był następujący: Oddano głosów 49025. Na dr. Adlera padło przeszło 30 tysięcy, na Predigera przeszło 13 tysięcy. Trzeci kandydat, Tschiedel, otrzymał zaledwie 4800 głosów. Wobec tego posłem do parlamentu z piątej kuryi okręgu reichenbergskiego wybrany został dr. Wiktor Adler. Zwycięstwo socyalistów było nadspodziewanie świetne.



Zwycięstwo socyalistów w Reichenbergu: Dr. Wiktor Adler, przywódca socyalistów i nowowybrany poseł do parlamentu.

Nowy poseł jest jednym z najdzielniejszych polityków obecnej doby. Przyznają mu to nawet jego najzaciętsi wrogowie. Obdarzony porywającą wymową, będzie w parlamencie wiedeńskim siłą, która nie mało się przyczyni do wzmożenia powagi posłów socyalistycznych.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok portret dr. Adlera.

Samobójstwo przed grobowcem rodzinnym.

Wiek XIX. aczkolwiek pod względem przemysłu i handlu pchnął ludzkość ogromnie naprzód, na nowe, nieznane jej przedtem tory, to jednak pod względem moralności i etyki przyczynił się jeno do pogrążenia jej w ciemność. Filozofia rozwiała najświętsze uczucia i wierzenia, zniweczyła wiarę, będącą w każdym razie największem szczęściem dla człowieka, a w zamian za to nie dała nic. Pozostawiła ludzkość na skraju przepaści zwątpienia o wszystkiem i we wszystko, odebrała spokój, a przez to zdruzgotała całe to małe wprawdzie, ale dla ludzkości jak powietrze do życia potrzebne, szczęście. Człowiek, który stracił wiarę, stracił cel w życiu, a jeżeli ten cel stracił, wtedy każde niepowodzenie, każde najmniejsze nawet nieszczęście, zupełnie go łamie i robi go albo posożytem społeczeństwa, albo mu kładzie broń samobójczą do ręki. To jest przyczyną, że dzisiaj co dzień prawie słyszymy o wypadkach samobójstwa, a rzecz charakterystyczna, że największa ilość ich zachodzi wśród młodzieży, wśród ludzi, którzy właściwie dopiero zaczynają żyć. Słabość duszy, nie widzącej przed sobą celu, rozdenerwowanie spowodowane gorączkowem życiem, niezdolność do oparcia się złemu, składają się razem na to, że samobójców mamy bardzo dużo. Smutny to objaw, ale to specyalna cecha naszego wieku, przeciw której na razie nie mamy lekarstwa.

W ubiegłym tygodniu spotkał zacną, powszechnie w Krakowie znaną i poważaną rodzinę pro-



Samobójstwo przed grobowcem rodzinnym: Ś. p. Stanisław Pieniążek odbiera sobie życie przed grobowcem rodzinnym.

fesora szkoły realnej Czesława Pieniążka dotkliwy cios. We wtorek rano najstarszy syn p. Pieniążka, Stanisław, odebrał sobie na cmentarzu krakowskim życie przed grobowcem rodzinnym. Był to już drugi cios, jaki spotkał szanowanego profesora w tym roku. Przed kilku miesiącami syn jego młodszy utopił się, bawiąc na wsi na wakacyach, a teraz drugi syn zapomocą rewolweru odebrał sobie życie.

Śp. Stanisław Pieniążek był z zawodu inżynierem. Z powodu zastoju przemysłowego powrócił z Warszawy gdzie był zajęty, do Krakowa, gdzie powołany został przez swego szwagra Bogdanowicza do objęcia kierującego stanowiska we wielkim, tworzącym się zakładzie przemysłowym na Prądniku. W chwili takiej, gdy los się do niego uśmiechnął po szeregu niepowodzeń życiowych, młody, w pełni sił, obdarzony wielkiemi zdolnościami człowiek, odebrał sobie życie. Przyczyna samobójstwa bliżej nieznana. Prawdopodobnie był nią rozstrój nerwowy. Potwierdzeniem tego domysłu są pewne poszlaki, wskazujące na to, że zmarły powziął rozpaczliwe swoje postanowienie najwidoczniej w ostatniej chwili. W przeddzień bowiem katastrofy spożywał w towarzystwie szwagra w najlepszem usposobieniu w jednym z handlów krakowskich kolacyę. Na drugi dzień po południu poszedł na cmentarz, z którego już nie wrócił. Pod grobowcem rodzinnym skierował mordercze narzędzie przeciw sobie. Robotnicy cmentarni, usłyszawszy huk strzału, przybiegli na miejsce katastrofy, ale zastali już trupa. Przy nim znaleziono kartkę, ze słowami: Jestem Stanisław Pieniążek.



Przyszły król norweski: Książę Karol duński, prawdopodobny przyszły król Norwegii, w otoczeniu rodziny.

Tragiczny ten wypadek wywołał w całem mieście olbrzymie wrażenie i obudził w szerokich kołach najżywsze współczucie dla rodziców zmarłego. Tragizm ten potęguje okoliczność, że śp. Pieniążek popełnił samobójstwo wśród okoliczności dla rodziny wprost niezrozumiałych i mgłą tajemnicy osłoniętych.

Illustracya, jaką zamieszczamy w dzisiejszym numerze, przedstawia chwilę, kiedy śp. Pieniążek pada, przeszyty kulą rewolwerową.

Przyszły król norweski.

Na półwyspie skandynawskim miało miejsce w ostatnich miesiącach silne przesilenie między obydwoma znajdującemi się tam państwami, mianowicie Szwecyą i Norwegią. Przesilenie to omal że nie doprowadziło do wojny między tymi pokrewnymi sobie narodami. Dzięki wielkoduszności króla Oskara, udało się zażegnać zagrażającą burzę i nie dopuścić do krwi rozlewu. Unia szwedzko-norweska została rozwiązaną polubownie przez pełnomocników obydwóch narodów, zebranych na konferencyi w Karlstadt.

Prowizoryczne rządy w samodzielnej Norwegii, objął dotychczasowy rząd z prezydentem Michelsenem na czele. Ale tu nie koniec przesilenia. Wyłoniło się bowiem pytanie, czem ma być Norwegia, republiką, czy monarchią.

Partya republikańska jest ogromnie silną i posiada również w łonie storthingu znaczną większość. Nawet w pośród ministrów tymczasowego rządu objawił się silny prąd republikański, który stanowczo odrzuca wszelką myśl uczynienia Norwegii monarchią. Ale i zwolenników monarchii jest dużo, a na czele ich stoi obecny kierownik rządu prezydent ministrów Michelsen. Chociaż więc na pozór trudno przewidzieć, czem będzie Norwegia, to jednak nie ulega wątpliwości, że głosowanie ludu, któremu poruczono rozstrzygnięcie tej kwestyi, przechyli szalę zwycięstwa na rzecz monarchii. Wnosić to można nie tylko ze względu na szczególną skłonność Norwegów do monarchii, ale ze względu na praktyczność, jaką się ten naród odznacza. Norwegia jest bowiem dzisiaj w położeniu bardzo trudnem, co się dotkliwie odbija zwłaszcza na jej interesach handlowych. Wprowadzenie na tron norweski nowej dynastyi, ułatwi Norwegom szybkie wybicie się i uzyskanie należnego jej stanowiska w ogólnym koncercie mocarstw europejskich.

Jak wiadomo, Norwegowie oddawna już życzyli sobie, aby na tronie norweskim zasiadł jeden z członków domu Bernadotte. W pierwszej linii należało się więc zwrócić do króla szwedzkiego Oskara, głowy członków tej rodziny. Ze względu na fakt, że król Oskar został boleśnie dotknięty oderwaniem się Norwegii od Szwecyi, zaniechano tej drogi i zwrócono się do dworu duńskiego. Tam z początku ze względu na dwór szwedzki, mało zwracano uwagi na życzenia Norwegów. Dzięki nakładom, prowadzonym w tajemnicy, doprowadzono jednak do tego, że książę Karol duński okazał się gotowym do przyjęcia korony norweskiej na wypadek, gdyby go lud norweski zapomocą głosowania wybrał. Wybór jego nie ulega, zdaje się, najmniejszej wątpliwości i książę Karol zasiądzie wkrótce na tronie norweskim, jako król Hakon IX.

Przyszły król norweski, książę Karol, jest synem następcy tronu duńskiego księcia Fryderyka. Urodził się w roku 1872, a w roku 1896 ożenił się z najmłodszą córką króla angielskiego Edwarda VII. księżniczką Maud, która w roku 1903 powiła mu syna, księcia Aleksandra. Matka księcia Karola jest siostrzenicą króla szwedzkiego Oskara.

Książę Karol poświęcił się w swojej duńskiej ojczyźnie służbie wojskowej w marynarce. W roku 1889 wstąpił do akademii marynarskiej, a w latach następnych odbył kilka większych podróży morskich. Powołaniem więc i językiem bardzo bliski Norwegom, obdarzony przytem nadzwyczajną wielkodusznością, otwartością i szczerością, jak każdy Norwegczyk, znajdzie on w Norwegii drugą ojczyznę i zyska z pewnością taką miłość u swoich poddanych, jaką zyskał u Duńczyków. Norwegowie zresztą nie mogli zrobić lepszego wyboru. Boć książę Karol jest wnukiem króla duńskiego, bliskim krewnym króla szwedzkiego, zięciem króla angielskiego i kuzynem cara.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię księcia Karola wraz z jego małżonką i synem.

Konsulat angielski we Lwowie.

Liczba konsulatów istniejąca we Lwowie, zwiększy się w najbliższym czasie o jednego. Oprócz mianowicie konsulatów: rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego i włoskiego, zostanie otwartym i konsulat angielski. Kierownikiem tego konsulatu został przez rząd Wielkiej Brytanii mianowany prof. Roman Załoziecki.

P. Załoziecki urodził się w Galicyi w Bolechowie w r. 1863. Po ukończeniu szkół średnich i politechniki lwowskiej, zajmował przez krótki czas stanowisko asystenta przy jednej z katedr tejże politechniki, poczem dla wykształcenia praktycznego w dziale naftowym, udał się do Peczeniżyna i w tamtejszych kopalniach nafty pracował przez dwa lata pod kierownikiem śp. Stanisława Szczepanowskiego. Następnie uzyskał stypendyum rządowe i wyjechał do Zurychu, gdzie studyował technologię na politechnice. Po powrocie do kraju habilitował się w lwowskiej szkole politechnicznej na wydziale chemii technicznej i nie dawno uzyskał tytuł profesora. Ponadto jest profesorem lwowskiej akademii handlowej. Jest znakomitym znawcą przemysłu naftowego; od lat szeregu redaguje czasopismo fachowe pt. „Nafta“ i jest wreszcie kierownikiem stacyi doświadczalnej dla przemysłu naftowego, przy lwowskiej szkole politechnicznej istniejącej. Jako człowiek wielkiej pracowitości i wybitnych zdolności, cieszy się zarówno wśród ogółu jak i młodzieży, której jest profesorem, ogólnym szacunkiem.

Z rządem angielskim pozostaje oddawna w stosunkach, głównie w sprawach przemysłu naftowego. Tu też leży geneza konsulatu, ze względu na te stosunki, bardzo pożądanego.

Otwarcie konsulatu, który mieścić się będzie w pięknej willi prof. Załozieckiego przy ul. Krzyżowej, nastąpi za parę tygodni, gdy cesarz udzieli t. zw. exequatur.



Śmierć posła meksykańskiego w Wiedniu: Don José de Zenil, poseł meksykański. (Treść na str. 15).



Konsulat angielski we Lwowie: Prof. Roman Załoziecki, nowomianowany konsul angielski we Lwowie.



KRONIKA LWOWSKA.

Jesień we Lwowie. — Magistrat, jego pachołki i błoto. — Co pływa po ulicach Lwowa? — Rozszerzenie tramwajowej sieci. — Pomnik wędrujący, — Bartosz Głowacki nie ma pieniędzy. — Patryotyczna Strzelnica. — Jubileusz p. Michalskiego. — Zjazdy i zgromadzenia. — Pogrzebowy memoryał. — Głodomory wiecują, a Sejm się śmieje. — Historya o pewnej kobyle, która nauczyła się pościć. — Bileterzy bez wyjścia. — Z teatru. — Gustaw Fiszer i jego monologi. — Nasza Abdera. — Co byłoby w Wiedniu. — Pani Janowa, pani Walentowa i jej syn przy teatrze. — Jedna litera.

Sprzeniewierzyła się nam w tym roku nasza dotąd tak piękna jesień, bo od dni kilkunastu mamy brzydką, słotną zimę, która mieszkańcom znanej ze swojej przysłowiowej stolicy czystości daje we znaki więcej, aniżeli żądają.

No i naturalnie wszystkie skutki tak dobrze każdemu znane. Miasto jak jedno wielkie bagno, po którem pływają płyty, kamienie, piasek, słoma, odpadki z owoców, stare kalosze, zdechłe koty, czerepy, zużyte kapelusze damskie, męskie i dziecinne, części obuwia, podwiązki, gdzieniegdzie nawet część garnituru damskiego lub niemodny anglez albo nawet szczątki cylindra... W trotoarach miliony dziur, w dziurach kamienie, zapadające się pod naciskiem stopy ludzkiej i wysyłające strumień błota prosto na garderobę, okrywającą nieopatrzną stopę... Lwów podczas słotnej jesieni... Dzienniki piszą o „Wenecyi we Lwowie" i doradzają przeprawiać się na gondolach... Ale gondole w błocie nie poruszają się tak gładko i dlatego magistrat słusznie nad tym wnioskiem przeszedł do porządku.

Natomiast wysłał swoich pachołków z poleceniem oczyszczenia ulic z błota. Pachołkowie idą i zgartują czy zmiatają błoto, gromadząc je po dwóch stronach ulic, ażeby je wozy magistrackie na ępnie stąd sprzątnęły. Ale wozy magistrackie przyzwyczajone do rozwożenia taniego opału miejskiego, spaźniają się i tu... Przyjeżdżają o dwa dni za pózno, bo nagromadzone błoto rozeszło się tymczasem po całej ulicy... Potem znów tamci przychodzą zgartywać a wozy znów przychodzą za późno i tak w kółko... Aż wiatr i słońce wysuszą błoto lub mróz je zetnie i znów jest sucho — dzięki magistratowi.

Lwów podczas słotnej jesieni...

Magistrat stara się jednak o ułatwienie po lwowskich błotach komunikacyi przez rozszerzenie sieci tramwaju elektrycznego. Między innemi dostajemy wkrótce przedłużenie linii Park-stryjski—Kawiarnia wiedeńska aż do teatru miejskiego, co podobno ka spowodować przesunięcie pomnika Sobieskiego pod gmach kryminalny krajowej dyrekcyi skarbu, jak wiadomo, najpopularniejszej instytucyi w kraju. Taki afront nie powinien spotkać króla Jana III.

Niech już lepiej dalej zagląda do galicyjskiej Kasy oszczędności, buławą wskazuje hotel „Grand" a ogniem kawiarnię wiedeńską...

Za to pomnik Bartosza Głowackiego nie może się doczekać odsłonięcia, pomimo, że zapowiadano tę uroczystość na początek a najdalej na połowę października. Tymczasem i listopad już nadszedł a może i minie bez odsłonięcia pomnika, bo... brakuje pieniędzy. Niewiele wprawdzie brakuje, drobna zaledwie sumka, ale niema jej, więc nie można odsłonić pomnika... Lwów biedne miasto...

Nie mówię już o drogich bankietach i obiadach u namiestnika, marszałka i prezydenta, ale gdyby taka mieszczańska Strzelnica z jednej takiej uczty uszczknęła kilka butelek to możnaby już uzupełnić fundusz pomnikowy. A Strzelnica wiwatuje przy każdej sposobności i oblewa ojczyznę alkoholami rozmaitego gatunku aż do nieprzytomności.

Niedawno zapijano siarczyście dwudziestopięciolecie wstąpienia do Strzelnicy p. Michalskiego. Przy tej sposobności „pito zdrowie" wszystkich obecnych po kolei, zdrowie solenizanta i zdrowie nieobecnych, a zebrano na rozmaite cele filantropijno-społeczne razem kilkadziesiąt koron... Nie można żądać od namiestnika, marszałka, od zebranych na sejm szlachciców pieniędzy na pomnik chłopa-rewolucyonisty, ale mieszczańska Strzelnica i jej łyczakowscy patryoci, powinniby czasem rumienić się, nietylko od alkoholów...

Obradujący obecnie Sejm spowodował kilka zjazdów i zgromadzeń. Ludzie naiwni wierzą jeszcze, że taki Sejm będący jedynym parlamentem polskim, jeszcze przecież coś zrobi dla swoich. Wiecie już o tem, co się stało z memoryałem partyi socyalno-demokratycznej w sprawie powszechnego prawa głosowania. Przekazano go komisyi administracyjnej celem pogrzebania żywcem. Tydzień temu wielkie było burum, pisano, że czasy się zmieniają, marszałek i namiestnik przyjęli łaskawie deputacyę socyalistów — w dziesięć dni później pokazuje się... farsa. Zakpili panowie z żądań i nadziei ludu.

Teraz inni paryase wstają. Nauczyciele ludowi powyłazili z mysich dziur i upominają się o poprawę doli. Latami mówi się u nas o tych głodomorach, artystach w swoim zawodzie produkujących się znakomicie sztuką wstrzymywania się od jadła i napoju przez całe życie... Sejm na to odpowiada, że przecież dotąd żaden nauczyciel ludowy nie zginął z głodu. Prawda, że nauczyli się pościć, ale im z tem dobrze, bo skromność i wstrzemięźliwość, to dwie największe cnoty człowieka... To zaś, że czasem taki nauczyciel umrze na suchoty, nie jest skutkiem głodu, ale — alkoholów. Przypomina to historyę pewnego biedaka, którego całym majątkiem była kobyła. Kobyła pracowała na swojego pana, ale sama jeść musiała, więc dla biednego właściciela mało zostawało. Oto postanowił kobyłę odzwyczaić od jedzenia. Pościła biedna kobyła w pierwszym tygodniu jeden dzień i nic nie mówiła... W drugim tygodniu pościła przez dwa dni i nie skarżyła się. W ósmym tygodniu doprowadził biedak do tego, że jego kobyła umiała już przez ośm dni z rzędu pościć. Słowem odzwyczaiła się zupełnie od jedzenia, a właściciel był już kontent, że dochody jego tem samem się powiększyły. Cóż kiedy właśnie w tym czasie kobyła nagle i niespodzianie zdechła. A szkoda, umiała już ośm dni pościć.

I urzędnicy kolejowi zaczynają się ruszać. Zachęcił ich podobno sukces nauczycieli ludowych... Że też jeszcze ludzie tak bardzo lubią się łudzić... Zwołuje się zgromadzenie, omawia się sytuacyę, podaje się niezawodne środki, obmyśla się plany, prosi się obecnych na zgromadzeniu dwóch posłów o interwencyę i na tem się kończy farsa... Zanim sprawa dostanie się do Wiednia, jedna połowa gubi się po drodze, drugą zabijają we Wiedniu jakąś wymówką i przyrzeczeniem, że może potem, kiedyś to i owszem, ale dziś niestety...

Do innych paryasów zabrała się policya lwowska. Bileterzy teatru miejskiego otrzymali surowe polecenie baczenia, by nikt podczas przedstawienia nie stawał w szyjach wchodowych, gdzie jak wiadomo, stają artyści teatru, dziennikarze, lub inni „znajomi" teatru. Bileterzy karani będą grzywnami pieniężnemi, jeśli nie będą przestrzegać tego polecenia policyi. Można sobie wyobrazić położenie tego biedaka, który ma teraz do wyboru dwie drogi: albo zapłacić grzywnę przewyższającą trzykrotnie jego zarobek, albo narazić się jakiemuś potentatowi teatralnemu, który może postarać się o wydalenie krnąbnego biletera.

Teatr zapowiedział cały szereg senzacyjnych nowości w dziale dramatu, ażeby bodaj w części usprawiedliwić dotychczasową drzemkę. „Birbanta" krytyka zmasakrowała, biorąc go zbyt seryo, a więc fałszywie.

Opera jeszcze zawsze robi kasę i wyciąga z biblioteki zapylone stare opery, co zresztą naszej publice jest zupełnie obojętnem, bo ona teraz chodzi „na operę" a mniejsza o to na jaką.

Mieliśmy w ostatnich dwóch tygodniach dwa wieczory humorystyczne Gustawa Fiszera. Zanim wydobędę od upartego na tym punkcie artysty fotografię, ażeby wydrukować jego szczegółową sylwetkę muszę kilka słów poświęcić jego wieczorom.

Musi coś być w tych monologach Fiszera, kiedy od lat kilkudziesięciu tak ciągną. Gra zawsze te same monologi, charakteryzuje się zawsze tak samo, a publiczność od lat kilkudziesięciu na śmierć się zaśmiewa.

Kto we Lwowie lub na prowincyi nie słyszał tych monologów, kto ich już dziś nie umie prawie na pamięć, a kto nie poszedłby z gustem jeszcze raz oglądnąć przepysznego Śniadankiewicza, starego Żeniaczkiewicza, zakłopotanego Ferblikiewicza, wesołego Bałagułę, dowcipnego Moryca kelnera typowego Kałamarzewskiego i t. d. Znają to wszyscy a chodzą dalej i śmieją się bez końca, bo jest tam wspaniały, wiecznie świeży dowcip i humor, bo jest w nich szczera, arcyzręcznie uchwycona na „gorącym uczynku" prawda życiowa, bo są tam nasze słabostki bajecznie odmalowane z taką szczerością i tak pysznym okraszone humorem, że wolno te drobne utwory Fiszera nazwać arcydziełami w swoim rodzaju. Próbowali i inni pisać i mówić monologi, ale nikt dotąd Fiszerowi nie dorównał i zdaje się nie dorówna tak rychło. To wszystko znane typy. takie nasze, z bruku, z codziennego życia, prawdziwe i w tem tajemnica ich olbrzymiego powodzenia, ich wiecznej świeżości. Bo prawda nie starzeje się..

Grywa przeważnie własne monologi i przeważnie dawne. Te też są najlepsze i najwięcej się podobają, tymi ratuje obce, nowe, naturalnie już nie tak dobre. Ma on swoją publiczność, która niejako tradycyjnie chodzi na jego wieczorki. Są między nią ludzie, którzy nigdy teatru nie widzieli, a na wieczorki Fiszera chodzą stale.

Ten Fiszer, który jest zarazem znakomitym komikiem charakterystycznym, jednym z najlepszych w Europie, przebywa stale we Lwowie a nie wchodzi w skład personalu teatru miejskiego... Co ciekawsze, stan ten trwa od lat kilku i nikomu się nie śni czynić starania, by scena odzyskała taką siłę. Gdyby Fiszer był np. przed trzema laty umarł przed wystąpieniem z teatru, bylibyśmy poprostu ryczeli z żalu i wołali i pisali, jak to on jest niezastąpiony, jaką niepowetowaną stratę poniosła scena polska... A Fiszer zdrów jest, żyje, śmieje się i innych do szczerego śmiechu pobudza swoimi monologami, lecz pokazuje się dwa razy w roku w małej sali Sokoła... Na scenie niema Fiszera i godzimy się na to...

W takim np. Wiedniu noszonoby kołnierzyki i kapelusze à la Fiszer, co kilka lat obchodzonoby jego jubileusz, widdeńczycy zasypywaliby go wieńcami i kwiatami i dumni byliby, że go mają i kochać mogą... U nas inaczej. My Lwów...

Ex re wieczorków Fiszera opowiadają sobie dobry dowcip, choć nie bardzo nowy. Spotykają się dwie kumoszki, z których jedna chwali się przed drugą, że syn jej, który dotąd nie chciał się uczyć, dostał nareszcie świetną posadę, dzięki której będzie mógł utrzymywać ją na stare lata.

— A czemże jest wasz syn, pani Walentowa?— pyta zaciekawiona Janowa.

— O, moja pani Janowa, syn mój tera wielgi człowiek, bo zarabia wielkie pieniądze przy teatrze.

— A czemże on jest przy teatrze? — pyta niecierpliwie Janowa.

— Ano czem, to naprawdę nie wiem, bo to się jakoś tak nazywa, taki, taki fiszer...

— Aha, to on może mówi monologi? — pyta Janowa.

— E, nie — odopowiada Walentowa — tamten, co mówi monologi, to jest G. Fiszer, a mój to jest afiszer...

Mała różnica... Jedna litera... *Kl.*

Kącik humorystyczny.

Daremnie.

Doktor: Panie Brzuszkiewicz, musisz pan skromniej żyć i używać dużo ruchu.

— Bo widzisz, kochany doktorze, jak jem, to muszę pić, a jak piję, to jeszcze więcej jem. A potem muszę spać i od tego mój brzuszek.

Na wyścigach.

— Jaki ten Iks, co zyskał pierwszą nagrodę w „steeple chase", miły i uprzedzający człowiek!

— Inaczej być nie może. Kto chce zwyciężyć w „steeple-chase" — musi być bardzo... uprzedzający.

Na pensyi.

— Powiedz mi czas przyszły słowa „kochać".

— Zaślubić!

Skromny.

— Co z tego Władka za skromny człowiek!

— Niby czemu?

— Mógłby się umizgać do pani prezesowej a zadawalnia się jej sł żącą.

W poczekalni kolejowej.

— Pani czeka niezawodnie na małżonka? — zaczepia Gucio przystojną samotną podróżną.

— Tak, panie, od lat dziesięciu, lecz nie chce się zjawić!

Śmierć posła meksykańskiego w Wiedniu.

Nad poselstwem meksykańskiem w Wiedniu zawisło, zdaje się, nieszczęsne fatum. W krótkim przeciągu czasu, bo zaledwie w ciągu trzech lat, zabrała śmierć jednego po drugim posła. W ubiegłym tygodniu zmarł, atakiem apopleksyi tknięty, ostatni poseł meksykański na dworze wiedeńskim, Don Jose Zenil, który piastował ten urząd dyplomatyczny od 6 czerwca 1902 roku.

Don Zenil, który już od dłuższego czasu cierpiał na serce, nie występował prawie nigdy w życiu towarzyskiem i wskutek tego należał do mniej znanych w Wiedniu dyplomatów zagranicznych. Ale za to w szczupłem kółku swoich znajomych, zdołał sobie przez swą dobroć i prawość charakteru pozyskać poważanie i szacunek. Don Zenil zmarł mając lat 60 i kilka. Żony nie miał. Mieszkał we Wiedniu przy Gusshausstrasse numer 17, gdzie się również mieściły biura poselstwa meksykańskiego. Zwłoki zmarłego posła zostaną przewiezione do Meksyku, gdyż Don Zenil pragnął zawsze spoczywać na ziemi meksykańskiej.

Kiedy zwłoki Don Zenila spoczywały jeszcze w jego mieszkaniu, powstał w pałacu pożar skut-



Zgon konsula perskiego: Zmarły konsul dr. Andrzej Kłodzianowski.

kiem zetknięcia się przewodów elektrycznych. Pożar rozszerzył się tak, że dosięgnął komnaty, gdzie się znajdowały zwłoki zmarłego. Dzięki jednak energicznej akcyi ratunkowej zdołano zwłoki na czas usunąć i uchronić je od spalenia.

Jak wiadomo, stosunki dyplomatyczne między Meksykiem a Austro-Węgrami, były przez szereg lat zerwane, mianowicie od nieszczęsnego dnia, w którym rozstrzelano w Meksyku cesarza Maksymiliana, brata cesarza Franciszka Józefa I. od roku 1867 – aż do roku 1902. W tym roku, dzięki głównie zabiegom i staraniom zmarłego przed miesiącem księcia Khevenmüllera, który przed 35 laty towarzyszył cesarzowi Maksymilianowi do Meksyku, przywrócono na nowo stosunki dyplomatyczne między obydwoma państwami. Pierwszym posłem był Don Teresay Miranda, który jednak w trzy miesiące po objęciu swego urzędu zmarł we Wiedniu. Następcą jego był zmarły w ubiegłym tygodniu, po trzech latach urzędowania, Don Zenil. Minister spraw zewnętrznych hr. Gołuchowski, zawiadomiony o jego śmierci tegosamego wieczora, wysłał do rządu meksykańskiego depeszę, z serdecznymi wyrazami kondolencyi.

Zamieszczona obok fotografia przedstawia Don Zenila w uniformie posła meksykańskiego.

Rewolucya w Rosyi.

Od dwóch tygodni na całym obszarze olbrzymiego imperium rosyjskiego goreje płomień rewolucyi. Początek dała Moskwa, to serce rdzennej Rosyi, miasto najdroższe dla każdego Rosyanina. Tam wybuchły nasamprzód po chwilowej przerwie rozruchy, które powiększały się z dnia na dzień. W innych miastach panował jeszcze spokój, aż wkrótce za Moskwą poszły wszystkie centra fabryczne i przemysłowe w Rosyi i Królestwie Polskiem i naraz w połowie ubiegłego tygodnia cała Rosya stanęła w płomieniach. To, co się tam działo przechodzi nawet najśmielsze marzenia fantastów. Naród rosyjski, od inteligencyi począwszy, a oparty na masach ludu, uchodzącego do niedawna za najciemniejszy w Europie, podniósł się do walki o wolność, o prawa człowieka. Zapasy to tytaniczne, godne śpiewu nowoczesnego Homera. Każdy dzień przynosił coraz okropniejsze wieści; czuć było, że zmagają się ze sobą dwie potęgi, dwa kolosy; carat, zawsze jeszcze silny i lud, niezwyciężony.

Warszawa, jedno z najważniejszych ognisk rewolucyjnych, nie pozostała również w tyle za innemi miastami. I tam w jednym dniu rozgorzała się płomieniem rewolucya, w jednym dniu stanęły wszystkie fabryki, warsztaty, sklepy nawet. Ruch kolejowy i pocztowy w całej Rosyi wstrzymano i w ten sposób odcięto Rosyę zupełnie od Europy. W ubiegłą środę wybuchły rozruchy we wszystkich miastach naraz. W Warszawie rewolucyoniści byli tak dobrze zorganizowani, że w jednej godzinie zabili wszystkie patrole wojskowe i przerwali połączenie telefoniczne w mieście, tak, że nawet komenda wojskowa znalazła się w kłopocie, bo nie mogła natychmiast ściągnąć wojsk dla stłumienia rozruchów. Na dworcu kolei wiedeńskiej wybuchł pożar, który objął wszystkie zabudowania stacyjne w kilku minutach i rozszerzał się coraz gwałtowniej, tembardziej że nie było żadnej akcyi ratunkowej. Dworzec płonął aż do późna w nocy, a na ulicach przed nim, w łunie pożaru, co chwila odzywał się huk strzałów. To żołnierze strzelali do strejkujących robotników.

Od czwartku zmieniła się taktyka rewolucyonistów. Zaprzestano walk na ulicach, ale wstrzymano wszędzie pracę. Nawet lekarze, inżynierzy, urzędnicy, wszyscy zaprzestali pracować. Najważniejsze miasta, Moskwa, Petersburg i Warszawa zostały zupełnie odcięte od styczności ze światem. Nad wszystkiemi zawisło widmo głodu i nędzy. Ale ta milcząca rewolucya okazała się najlepszym środkiem do zwalczania rządu. Bo oto po pięciu dniach takiej rewolucyi car ujrzał się zmuszonym ustąpić i nadać narodowi konstytucyę. Lud zwyciężył. Stara Rosya, Rosya autokratyczna i czynownicza przeszła już do historyi. Na widownię dziejów wystąpiła nowa Rosya, odmłodzona, Rosya konstytucyjna.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok illustracyę, przestawiającą pożar dworca wiedeńskiego w Warszawie. Przed dworcem robotnicy walczą z wojskiem.

O mandat po dr. Walewskim.

Okręg wyborczy piątej kuryi, obejmujący okręgi sądowe: Stanisławów, Halicz, Tłumacz, Bursztyn, Buczacz Podhajce, Rohatyn, Wiśniowczyk, Złoty Potok, Monasterzyska, Tyśmienica i Ottynia, nie miał dotychczas szczęścia do swych wybrańców, posyłanych do Rady państwa. Po marnem zerze polityczsem Bogdanowiczu, wybranym tylko dzięki niesłychanym nadużyciom wyborczym, wśród rozlewu krwi (w Czernijowie), posłował z tego okręgu, również w podobnych warunkach wybrany, smutnej pamięci dr. Walewski, którego skandaliczne sprawki roztrząsano nie tylko w Kole polskiem, nie tylko w Izbie posłów Rady państwa, ale i w izbie sądowej. Skom romitowany i moralnie zabity, dr. Walewski musiał złożyć mandat swój poselski przed paru miesiącami, skutkiem czego na ubiegły wtorek 31 b. m. rozpisało namiestnictwo uzupełniające wybory w tym okręgu. Wobec tego zaś, że dni obecnie funkcyonującej rady państwa są już policzone, gdyż w r. 1906, a więc za parę miesięcy,



O mandat po dr. Walewskim: Hieronim Wierzchowski nowo wybrany poseł do Rady państwa.

kończy się ta kadencya i rozpisane zostaną nowe ogólne wybory, nie łatwo było znaleźć kandydata polskiego, któryby się zdecydował na trudną i kosztowną kampanię wyborczą, a po kilku miesiącach w najlepszym razie, t. j. w razie szczęśliwego wyniku wyborów, oddanie mandatu znowu do dyspozycyi wyborców.

A wybór ten ma ze stanowiska narodowego zasadnicze dla nas znaczenie. Walka bowiem toczyła się między kandydatem polskim a ruskim. Należy zaś pamiętać i z naciskiem podnieść, że w okręgu wspomnianym, choć we wschodniej części położonym, mieszka ogromny procent ludności polskiej. W powiatach rohatyńskim, stanisławowskim i zwłaszcza buczackim, pełno jest wsi wyłącznie polskich, a jeszcze więcej o ludności mięszanej, w czem procent Polaków wyższy.

Z radością tedy i szczerem zadowoleniem przyjęto w całym kraju wiadomość, że przeciwko kandydaturze ruskiej dr. Okuniewskiego, postawiono kandydaturę polską, ze wszech miar sympatyczną. Kandydatem tym był p. Hieronim Korczak Wierzchowski, radca i naczelnik sądu w Haliczu.

P. Wierzchowski pochodzi z rodziny szlacheckiej, niegdyś zamożnej, która miała znaczne posiadłości ziemskie w Królestwie polskiem, a która je straciła wskutek klęsk politycznych w pierwszej połowie ubiegłego stulecia. Hieromin Wierzchowski urodził się w r. 1860 we Lwowie, gdzie ojciec jego Erazm, był urzędnikiem. Młodość Hieromina upłynęła wśród ciężkich bardzo warunków, jako dziecko chorował bowiem ciężko i stąd późno zaczął do szkół uczęszczać. Mając zaś liczną rodzinę, musiał od 14 roku sam na siebie pracować i sam się utrzymywać z lekcyi i znosić bardzo ciężką dolę, tak ciężką, że nawet przez trzy lata nie chodził do szkół, tylko uczył się sam w domu i prywatnie składał egzamina. W tych samych



Walka z propinacyą: Krzysztof Janowicz.



Pogrzeb księcia Trubeckiego: Kondukt pogrzebowy na ulicy Twerskiej w Moskwie.

warunkach przeszły lata studyów uniwersyteckich we Lwowie i długa w owych czasach bezpłatna praktyka sądowa. Dzięki wybitnym zdolnościom, ogromnej pracowitości i sumienności, posuwał się później dość szybko w karyerze urzędniczej i obecnie zajmuje stanowisko radcy i naczelnika sądu w Haliczu. Ciężka, twarda szkoła życia, jaką p. Wierzchowski przeszedł. wyrobiła w nim niepospolitą siłę woli i charakteru. Lud polski i ruski zna dobrze, zna też jego potrzeby, bo jako sędzia miał nie mało sposobności zapoznać się ze stosunkami w Galicyi wschodniej.

Wiadomość tedy, iż p. Wierzchowski został wybrany posłem, uradowała ogół społeczeństwa polskiego nietylko z tego względu, że mandat z tego okręgu został w ręku polskim, ale że dostał się w ręce pracowite, uczciwe, w ręce człowieka, który smutną opinię swych poprzedników będzie umiał naprawić i niewątliwie naprawi.

Walka z propinacyą.

Istniejące w Galicyi od dawien dawna prawo propinacyjne, „zabytek dawnych szlacheckich rządów“, „resztka pańszczyzny“, „hańba i plama Galicyi“, jak je zawzięcie jego nieprzyjaciele — wszyscy szynkarze galicyjscy nazywają — ma wreszcie zakończyć swój żywot doczesny i przejść od r. 1911 do historyi. A walka z tą „hydrą stugłową“ nie była łatwą. „Świętej karczmy“ bronili z zapałem, godnym lepszej sprawy wszyscy ci, którzy na niej wspaniałe robili interesy, bronili właściciele wielkich posiadłości i ich reprezentanci w Kole polskiem, wiedeńskiem i w sejmie. Argument za utrzymaniem prawa propinacyi wysuwano bardzo popularny: w razie zniesienia tego prawa, kraj będzie miał deficyt. I już nie wiele brakowało do tego, by zwycięstwo zostało po stronie zwolenników i przyjaciół propinacyi. W decydującej chwili, kiedy projekt przedłużenia tego prawa na dalsze lata po 1910 r. był w Wiedniu, wystąpili do walki z groźnem niebezpieczeństwem szynkarze galicyjscy, zorganizowani w centralny związek krajowy gospodniio-szynkarski, ze swym prezesem Krzysztofem Janowiczem na czele. I zwyciężyli! Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że propinacya nie zostanie przedłużoną, a różnicę w dochodach kraju, stąd wynikłą, pokryją opłaty za licencye szynkarskie i krajowy podatek konsumpcyjny od piwa.

Ze zwycięstwa tego dumnym może być „związek“ i jego prezes Janowicz. P. Janowicz, typ mieszczanina lwowskiego, pełen temperamentu, Ormianin z krwi i kości, z Kut rodem, nie po raz pierwszy odznaczył się w walce z propinacyą. Znaną jest powszechnie jego energia i zapału pełna działalność w lwowskiej radzie miejskiej. gdzie pracował przez wiele lat, dając inicyatywę do licznych pożytecznych tej rady kroków. Najwięcej zaś do popularności p. Janowicza przyczynił się przez niego podniesiony projekt urządzenia obchodu rocznicy bitwy pod Grunwaldem, obchodu, który przed paru laty tak uroczyście urządzony został. Energia jednak p. Janowicza, jego szczerość w polityce, nie podobały się rządzącej w radzie miejskiej partyi, mimo iż był jej członkiem. Poczęto więc kopać pod nim dołki, gryziono go i kąsano cichaczem i zmuszono tem do ustąpienia z rady. Nie zmuszono go jednak do ustąpienia z widowni życia publicznego, na którą parła go jego natura, jego temperament, jego zdolności. Pola do pracy znalazł dość i po za radą miejską. Majątkowo nie zależny, nie dbający o małostkowe zawiści, pracowity i zapobiegliwy, zyskuje coraz więcej przyjaciół i zwolenników, którzy przepowiadają na pewne, iż przy najbliższych wyborach wprowadzą go z powrotem do rady miejskiej.

Pogrzeb księcia Trubeckiego.

W chwilach największej niedoli, w chwilach, stanowiących dla narodu epokę przełomową, powstają zazwyczaj w danym narodzie ludzie, którzy, obdarzeni genialnym umysłem, wysuwają się na czoło społeczeństwa i przez swoje zalety i cnoty cały naród podnoszą. I my, Polacy, w czasie największego przełomu, w czasie upadku naszej ojczyzny, mieliśmy takich mężów opatrznościowych, którzy przez swą wielkość cały naród wielkim uczynili, że wspomnimy jeno Kościuszkę, Puławskich, księcia Józefa.

Epokową chwilę przebywa w tym roku Rosya. Imperyum to olbrzymie, rozciągające się na przestrzeni prawie połowy Europy i znacznej części Azyi, zawrzało w roku bieżącym, jakby wulkan pod niem się rozżarzył. Wszystkie ludy, dotychczas gniecione w jarzmie niewoli, pozbawione najświętszych praw człowieka, ocknęły się nagle z długowiekowego snu i powstały, jednocząc się razem, we wspólnej walce o wolność. Walka ta, tocząca się bezustannie z małemi jeno przerwami od roku blisko, przybrała wreszcie charakter otwartej, jawnej rewolucyi, przed którą ugiął się carat i runął.

W takiej epoce wypłynęli na widownię dziejów ludzie, którzy złotemi zgłoskami zapisali się w dziejach Rosyi. Ludzie ci wybiegli daleko naprzód, duchem wznieśli się ponad cały naród, dla którego stali się jakoby pochodniami w drodze ku wolności. Oni to pierwsi odważnie głosić poczęli że wolność wywalczyć sobie trzeba, oni postępowaniem swem i czynami rzucili posiew rewolucyi. Do takich mężów należał zmarły onegdaj w Petersburgu kniaź Trubecki, rektor uniwersytetu w Moskwie.

Kniaź Trubecki był postacią w całej Rosyi ogromnie popularną. Charakter to był prawy, czy-



Walka o wolność w Moskwie: Wojsko rosyjskie, otoczywszy dom, w którym zebrali się na narady przedstawiciele robotników i inteligencyi, strzela do uczestników zgromadzenia.

sty jak łza; wszechstronnie wykształcony był jednym z najświatlejszych ludzi w Rosyi.

Pogrzeb jego, chociaż był masową manifestacyą czci dla „bojownika wolności“ — taki napis nosiła większa część wieńców na jego trumnie — odbył się jednak bez asystencyi policyi. Porządek utrzymywali studenci. Od szpitala św. Heleny aż do dworca mikołajewskiego utworzyła publiczność jeden wielki, nieprzerwany łańcuch. Po obydwu stronach ulicy stali studenci, wieśniacy, młode panny i stare babki; wszyscy na widok trumny ze zwłokami zmarłego, podawali sobie ręce na znak braterstwa i jedności. W powietrzu rozbrzmiewały pieśni żałobne, przerywane dźwiękami marsylianki.

Zgon konsula perskiego.

W zeszłym tygodniu zmarł w Lackiej Woli obok Mościsk dr. Andrzej Kłodzianowski, konsul austro-węgierski w Persyi, przeżywszy lat 60.

Ś. p. Andrzej Kłodzianowski, ukończywszy wydział medyczny ze stopniem doktora wszech nauk lekarskich, poświęcił się służbie konsularnej, do czego usposabiała go znajomość języków obcych, zwłaszcza języków wschodnich. Naprzód był konsulem w Kairze, gdzie z powierzonych mu misyi świetnie się wywiązywał, następnie zaś został przeniesiony do Persyi i przebywał w mieście Tebris. Tam, dzięki swym osobistym zaletom, wywierał bardzo duży kulturny wpływ, a przez bliskie i przyjazne stosunki z pierwszym ministrem szacha, niejednokrotnie bardzo dodatnio oddziałał na wewnętrzne stosunki w Persyi i nie jedna tamtejsza reforma pochodzi bezpośrednio z jego inicyatywy. Zbyteczne chyba dodawać, że nieliczni Polacy, stale lub czasowo w Persyi zamieszkali, mieli w nim zawsze najlepszego opiekuna i szczerego rzecznika swych interesów. W ostatnich czasach zaniemógł poważnie i dla poratowania zdrowia, steranego żmudną pracą, przybył w czerwcu br. — równocześnie z szachem — do kraju na dłuższy urlop i zamieszkał w swych dobrach, w Lackiej Woli. Tutaj mimo troskliwej opieki lekarskiej, mimo pieczołowitej pielęgnacyi żony, która od lat kilku z powodu złego stanu zdrowia przebywała z dziećmi w kraju, zmarł, zmożony chorobą ciężką, budząc szczery i powszechny żal w szerokiem gronie swych znajomych i przyjaciół.

Ś. p. dr. Kłodzianowski bowiem, mimo iż większą część swego życia zdala od rodzinnego spędził kraju, nigdy nie zrywał kontaktu i stosunków z tym krajem i jego sprawami zawsze bardzo żywo się interesował. Wielu też miał w kraju szczerych przyjaciół, między innymi marszałka powiatu przemyskiego i posła sejmowego dr Wł. Czaykowskiego, radcę dworu Lanikiewicza, posła A. Rayskiego i innych.

Dwór ś. p. Kłodzianowskiego w Lackiej Woli słynął z gościnności, a niezliczona moc oryginalnych zbiorów, przedmiotów i tkanin wschodnich, przemieniała go w jakiś bajeczny pałac wschodni.

W dzisiejszym numerze podajemy portret ś. p. dra A. Kłodzianowskiego.

Walka o wolność w Moskwie.

Dopóki rewolucya resyjska obejmowała tylko centra fabryczne i przemysłowe, dopóty car i rząd jego wierzyli jeszcze, że uda się rozruchy zgnieść siłą. Mówiono, że ruch rewolucyjny w Rosyi został sztucznie wywołany i jako sztuczna roślinka musi uwiędnąć. Car nie chciał nadać konstytucyi, przekonany, że lud rosyjski, stanowiący jądro narodu, stoi wiernie przy tronie i nie myśli o zmianie ustroju państwowego. Dopiero kiedy i lud się ruszył, kiedy rewolucya wybuchła w sercu Rosyi, w Moskwie, w najświętszem miejscu dla całego narodu, w Carskiem Siole zapanowało przerażenie. Wiedziano tam dobrze, że z chwilą, kiedy w Moskwie wybuchnie rewolucya, ogarnie całą Rosyę prąd rewolucyjny, z którym walka nie przedstawiałaby wiele szans powodzenia.

Tymczasem Moskwa, ta właśnie Moskwa z Kremlem i najwspanialszemi cerkwiami, stała się wkrótce jednem z najważniejszych ognisk rewolucyjnych. Po dłuższe przerwie we wrześniu wybuchła rewolucya małą siłą właśnie w Moskwie i stamtąd objęła kraj cały, tak, że w ostatnich dniach października cała Rosya przedstawiała się jakby obóz rewolucyjny. I wtedy została uwieńczona pomyślnym skutkiem.

Rewolucya w Moskwie srożyła się najostrzej w ostatnich 10 dniach października. Codziennie przychodziło tam do ostrych, zaciętych walk tłumów z wojskiem. Krew zbroczyła wszystkie ulice. Kozacy dopuszczali się takich okrucieństw, że strzelali nawet do najzupełniej niewinnych osób, znajdujących się w domach. Rozszalali w żądzy krwi i niszczenia strzelali do domów, które uważali za centra organizacyi rewolucyjnych. Moskwa złożyła godną jej daninę na ołtarzu walki o wolność.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya przedstawia jedną z chwil rewolucyi w Moskwie, mianowicie, kiedy piechota strzela do okien domu, gdzie zebrali się na narady przedstawiciele robotników i inteligencyi.



Stanisława Wysocka.

Henryk Drzewiecki.

Przed czterema laty, przedstawił się publiczności lwowskiej śpiewak, który zanim ukończył debiut, stał się już jej ulubieńcem. Nic dziwnego.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Henryk Drzewiecki.

Jako śpiewak obdarzony pięknym, niosącym organem głosowym o miłym, aksamitnym dźwięku, „wyszkolonym“ i używanym umiejętnie, jako aktor wystrzelał wysoko ponad *niveau* gry aktorskiej tenorów, — zaś jako człowiek, elegancki, miły, uprzejmy, gentlemen w każdym calu, a przytem chłopiec jak lalka. Zawojowawszy w ten sposób muzykalną publiczność, cieszył się przez całe dwa lata jej względami, mającemi nieraz wszelkie cechy... uwielbienia, ściągając do wspaniałej widowni lwowskiego teatru tłumy. Poza teatrem, ceniony w kołach artystycznych i towarzyskich dla swych osobistych przymiotów, był celem i marzeniem wszystkich komitetów, aranżujących wieczorki, rauty, koncerty dobroczynne i t. d. Drzewiecki śpiewał więc, niosąc swój talent, publiczność biła frenetyczne oklaski, a tu i owdzie marzyło młode serduszko, kierując gorący i jasny promyk pierwszej miłości nieśmiele ku śpiewakowi... Lecz po dwu latach skończyła się sielanka. Warszawa, chłonąca najlepsze artystyczne siły polskie, zabrała ulubieńca, i... zaczęła się ta sama historya w Warszawie, gdzie Drzewiecki stał się ulubieńcem publiczności, zwłaszcza tej... piękniejszej. A krytycy, ci zatruwacze życia niejednego śpiewaka, nie jednego artysty, z Drzewieckim, obchodzili się zawsze w rękawiczkach, ceniąc w nim talent sceniczny, przepyszny organ i olbrzymie umiłowanie sztuki, dla której nie wahał się porzucić innej, może równie świetnej karyery... prawniczej, do której sposobił się początkowo, uczęszczając na wydział prawniczy uniwersytetu petersburskiego. Lecz na drodze do uniwersytetu leżało konserwatoryum, dokąd młody adept Temidy zaczął nietylko zaglądać, lecz najregularniej uczęszczać i uczyć się śpiewać u Gebla i Cottoniego. Po ukończeniu nauk na uniwersytecie, wyjechał Drzewiecki do Wenecyi, gdzie studyował u Coena, a następnie do Medyolanu, aby ukończyć studya u Mazolego, tudzież u Barbaciniego i rozpoczął debiutem w Walencyi (1899) karyerę artystyczną. Debiutował w Rigolecie, zaimponowawszy słuchaczom swym przepysznym, wysokim c tudzież siłą i wytrzymałością oddechu. Po dwu latach śpiewania na scenach włoskich, przybył do Lwowa i pozostał w Polsce, ceniony, lubiany, oklaskiwany. Oby śpiewał nam dalej jak najdłużej. *—urs.—*

Stanisława Wysocka.

Artystka to jedna z tych, na których czole w dzieciństwie Muzy złożyły pocałunek, wybierając je na kapłanki sztuki. Już postać jej sama jakby dla sceny stworzona. Wysoka, z twarzą bardzo charakterystyczną, noszącą na sobie jakby maskę ról tragicznych, samem pojawieniem się na scenie wywołuje pożądane wrażenie. Głos dźwięczny, silny rozbrzmiewa zdumiewającą mocą i potęgą w rolach bohaterskich.

P. Wysocka jeszcze za dyrekcyi Kotarbińskiego zdobyła sobie zasłużone uznanie i wybiła się wraz z p. Mrozowską na pierwszy plan. Po rozbiciu dawnej trupy, kiedy przedsiębiorstwo objął p. Solski, który działalność swą około „podniesienia“ teatru krakowskiego rozpoczął od usunięcia ze sceny najlepszych, jacy tam byli, artystów, i artystek, p. Wysocka zajęła rzeczywiście — choć dyrekcya inaczej sądzi — pierwsze miejsce w obecnym składzie personalu. I rzecz charakterystyczna. Dwa miesiące ubiegło od czasu, kiedy p. Solski rozpoczął sezon, a p. Wysocka nie miała jeszcze *ani jednej* roli większej, ani jednej roli popisowej. „Zastosowany do wymagań sceny krakowskiej“ repertuar, mający się przyczynić do podniesienia teatru, okazał się jakoś w dziwny sposób takim, że p. Wysocka roli w nim nie znalazła. W teatrze bowiem udzielną władzę nad rolami kobiecemi objęła nowa Psyche, do której repertuar się stosuje.

Cóż jest tego przyczyną?

Chyba fakt, że p. Wysocka ma jednę wielką wadę. Tak jest. P. Wysocka ma wielki, rzeczywisty i piękny talent, talent, który już nieraz jaśniał na naszej scenie niezwykłymi blaski i musiałby zaćmić blask innych, słabszych od niej słońc. A w konstellacyi teatralnych są gwiazdy, których zaćmiewać nie wolno.

P. Wysocka to artystka do ról silnie dramatycznych. W dramacie i tragedyi potrafi porwać i zahypnotyzować wszystkich. Jej postacie dramatyczne tchną bowiem życiem, oddychają, mają krew i ciało. Oczyma i modulacyą głosu wydobywa z każdej roli najważniejsze rysy, do czego jej pomaga znakomicie wysoka inteligencya i szalona rutyna. Nikt nie zapomni jej kreacyi w „Balladynie“, w „Matce“ i „Śniegu“ Przybyszewskiego, jej Ofelii w „Hamlecie“ i tylu, tylu innych sztukach tak z dawnego, jak i modernistycznego repertuaru. Dodać zaś trzeba, że p. Wysocka jest osobą młodą, ma więc przed sobą świetną przyszłość. Ale trzeba, żeby ten talent mógł się rozwijać należycie, mógł się kształcić, bo w bezczynności nawet geniusz marnieje. Zmarnowanie zaś takiego talentu byłoby dla sceny polskiej niesłychaną krzywdą i przedsiębiorca teatralny p. Solski, powinien o tem pamiętać.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portret p. Wysockiej.



„Papla“

komedya w 3 aktach Edmunda Sée, tłómaczyła Wanda Nałęczówna. (Premiera z dnia 8 października b. r.)

Solski, Mikulski i spółka nie mają szczęśliwej ręki w dobieraniu sztuk. Sobotnia premiera była ukoronowaniem tego zajmującego repertuaru, którym przedsiębiorstwo karmi nas od szeregu tygodni, zyskując konieczność chodzenia do teatru w Krakowie, gdzie poprostu brak wszelkiej innej rozrywki.

Sobotnia sztuka była trzecią z rzędu, w której akcya przez trzy akty rozgrywa się w jednym i tymsamym pokoju, a więc oszczędność na kosztach wystawy jest ogromna. Prócz tego, sztuka sama płytka, nudna, polegająca cała na tem, że jakiś platoniczny kochanek jakiejś wesołej mężatki ciągle papla, a nic nie działa, przez co wreszcie skompromitowszy kobietę, a nie uzyskawszy nic, musi się wynieść za drzwi i porzucić piękną dla której był... za młody.

Gdy się zważy, że we wszystkich trzech aktach dzieje się ciągle jedno i tosamo, że akcya od początku do końca kroki m z miejsca nie rusza, gdy w dodatku, w braku odpowiednich do tej sztuki aktorów i aktorek, sztuka była niefortunnie obsadzona, gdy panowie artyści poubierali się jeden jak student na tańce, a drugi jak toreador — nie dziw, że publiczność wprost sarkała, wychodząc z teatru.

Istotnie najwyższy już czas, żeby otwarto salę koncertową przy placu Szczepańskim, gdzie publiczność krakowska będzie mogła korzystać ze wspaniałych koncertów i innych widowisk bez potrzeby chodzenia do zbyt odległego „Sokoła“. Wtedy przynajmniej krakowskie przedsiębiorstwo teatralne będzie musiało liczyć się poważnie z konkurencyą i nie będzie śmiało drwić sobie z publiczności zaniedbanym repertuarem.

Dziwić się również należy, że nikt nie podejmuje myśli prowadzenia dalej teatru ludowego w Krakowie. Instytucya ta jest konieczna i pożądana, sił aktorskich nie brak. Co też się dzieje z tym teatrem ludowym, w którym p. Rydel z takim zapałem popierał narodową sztukę za czasów dyrekcyi Kotarbińskiego? Mówią głośno po mieście że koncesyę tę ma w ręku p. Rydel, że atoli teraz już ostygł w zapale dla ludu wobec nawału czynności, jakie ma przy teatrze p. Solskiego jako płatny recenzent sztuk do grania.

Nie wierzę takim wieściom i dlatego poruszam tę kwestyę. Kraków potrzebuje teatru ludowego, teatr ten powstać musi, byłoby bowiem rzeczą wprost niesłychaną, żeby publiczność zezwolia na utrącenie sceny ludowej dlatego, że chciwy spekulant teatralny chce skupić tanim kosztem jak największe zyski dla siebie i swojej.... *Psyche.*

Oświk.

Pytania bez odpowiedzi.

Ponurego zakończenia sprawy Angelusa nie przewidywał nikt, nawet może on sam, skoro na parę dni przed swoim tragicznym zgonem łudził się, że potrafi na jaw wydobyć prawdę, której, jak utrzymywał, ani śledztwo sądowe ani rozprawa nie wykryły.

Kara śmierci, wymierzona samemu sobie przez człowieka, który mógł ujść kary, który w ostatniej chwili skarży się głośno na zbyt ciężkie potępienie co spadło na głowę jego i dzieci — jest ofiarą, pokutą, zadośćuczynieniem i maże wszelką winę. Co więcej, zmusza do refleksyi, że ponad prawem winienie osądzony został ten człowiek może błądzący, może bardzo grzeszny, ale przecie nie pozbawiony szlachetnych porywów serca, skoro nie lęk przed karą, bo przed tą jużby uszedł, ale widmo bezcześci wepchnęło mu do ręki broń samobójczą.

Pozostawione przez zmarłego pismo do p. ministra sprawiedliwości, charakteryzuje spokój i rezygnacya po części, pewna naiwność człowieka, który sądzi, że słowa jego są bezwzględnie wiarygodne, skoro je popiera majestat zgonu. Smutne i wielkie złudzenie! Pismo to, z opuszczeniem ważniejszych ustępów do sprawy wznowienia postępowania karnego potrzebnych, brzmi jak następuje:

Odebrałem sobie życie przez niesprawiedliwe zasądzenie mnie na 4 lata ciężkiego więzienia, umierając piszę prawdę, przyjmując odpowiedzialność przed Bogiem.

Prowadziłem w Krakowie Zakład zastawniczy pod firmą „W. Angelus i Ska“, a będąc sam biednym szukałem kapitalistów. Znalazłem kilku, wszyscy obdzierali mnie; najgorszym był Konstanty Rudolf Małkowski. Według książek i bilansów znajdujących się w ręach sądu, miał on w Zakładzie zastawniczym 130.000 ulokowanego kapitału, pobierając $12^0/_0$ od kapitału, plus pensya 5.000 koron, która była także tylko procentem lichwiarskim pod płaszczykiem wynagrodzenia pracy.

Małkowski i inni olichwili mnie, grożąc wystąpieniem i zlikwidowaniem interesu, zrobili ze mnie uległe narzędzie swej woli.

Na pokrycie deficytu bilansów i „manka“ kasowego (kasę prowadził sam Małkowski) postanowił Małkowski „nadbijać“ dochodów gdzie się uda.

Obciniał więc ludzi przy wypłacie nadwyżek, które obliczał Angelus według żądania Małkowskiego — po wyższej stopie procentowej.

Wogóle tylko kapitaliści korzystali — ja nie miałem żadnej korzyści z tych nieprawych zysków i dążyłem ile sił starczyło do wyzwolenia się z sieci lichwiarskiej, do zaniechania nadużyć. Umieram też w biedzie, zostawiając biedną żonę z dziećmi bez środków do życia, w nędzy.

Małkowskiemu pozwolono uciec. Dochodzenia sędziego śledczego dra Władysława Kisiela były jednostronne. A esztowanych było 3 funkcyonaryszy Zakładu: Włodzimierz Angelus, Julia Brach i Franciszek Limanowski, a sędzia Kisiel groził mi nadto dalszemi aresztowaniami i skandalem w całej rodzinie. Często, gdy zeznawałem prawdę, nie odpowiadającą jego pytaniu, wpadał w gniew, wołając: „pan łżesz“. O ile pos ępowanie takie zgodne jest z ustawą, nie moją rzeczą oceniać — wiem jednak, że tak czynić nie wolno. Przez groźbę skandalów dalszych w rodzinie rozumiałem wyraźnie, aresztowanie syna i córki zamężnej.

Zeznawałem, więc co wiedziałem i niewiedziałem, a wszystkie fakta odnoszące się do Małkowskiego przyjmowałem na siebie, bo spodziewałem się, iż kaucyę złoży za mnie i uwolni mnie z więzienia, nadto myślałem, iż skończy się na moim uwięzieniu i ukaraniu mnie, a Zakład zostanie uratowany, nie zamknięty, przez co żyłem nadzieją, że ja i rodzina nie stracimy utrzymania. Stało się przeciwnie. Zakład zamknięto przed wydaniem wyroku. Zaraz też po ucieczce Małkowskiego, gdy minęła mnie nadzieja otrzymania kaucyi z jego rąk, zeznania zmieniłem, ale tak sędzia Kisiel jak i prokuratorya nie dały posłuchu i wiary moim zeznaniom, uważając je za wykręt.

Tak podano sprawę ławie przysięgłych i zapadł werdykt, na podstawie którego dano mi 4 lata ciężkiego więzienia.

A przecie pieniądze zabrał Małkowski, on wolny — uciekł. To gruba pomyłka sądu. Tym bardziej razi mnie ta pomyłka, że już po moim aresztowaniu, Małkowski popełniał takie same nadużycia — sąd takie dowody (kartki likwidowane ręką Małkowskiego) dostał w posiadanie, a przecie moim zeznaniom nie uwierzył.

Przeciw wymierzonemu wyrokowi wniósł obrońca mój zażalenie nieważności. On wykaże prawnicze błędy — ja zaś zanoszę skargę ludzką do Jego Ekscelencyi, wołając z grobu „krzywdę mi wyrządzono dużą, a nie mam nadziei i wiary w uzyskanie prawdziwego wymiaru sprawiedliwości“.

Jego Ekscelencya będzie miał akta w Wiedniu i z nich pozna, że ja nie popełniłem oszustwa.

Nikt także z sądu nie prostował fałszywych relacyi dzienników — opisujących sprawę Angelusa jako kradzieży europejskiej sławy — jako rabunku i gromadzenia milionów.

Dzienniki inspirowane przez Hopcasa — urabiały mi ujemną — złą opinię, a to celem wyzucia mnie z koncesyi, a uzyskania jej dla siebie.

Pan Hopcas, dziennikarz z „Czasu“, starał się o koncesyę na Kraków — dostał na Podgórze, ale tam nie otworzył, czekając na miejsce moje.

Padłem więc ofiarą intrygi z jednej a niedokładności sądu z drugiej strony.

Może dzieci moje dowiedzą się o skutku pisania do Jego Ekscelencyi i one może oczyszczą choć w części pamięć moją. Kraków, 28 października 1905. Włodzimierz Angelus.

* * *

Jak zawsze, tak i z powodu tego wypadku nasuwają się refleksye na temat ogólny. Budzi się przedewszystkiem pytanie, czy wszystko w tej „sprawie“ działo się w porządku? Dlaczego ani prokurator ani sędzia śledczy, którzy głośno opowiadali, że wiedzą, iż Małkowski jest w Częstochowie, (był bardzo nabożny i co miesiąc chodził do spowiedzi) nie uczynili niczego, aby go postawić przed sąd? Wszakże Rosya wydaje przestępców! Nasuwa się pytanie, czy kapłani sprawiedliwości spełnili godnie swój obowiązek, wtrącając do więzienia jednego funkcyonaryusza, a po walając bezpiecznie siedzieć poza salą sądową różnym innym utytułowanym lub znającym „stosunki“ lichwiarzom, którzy obliczają teraz bezpiecznie swoje zyski z wyzysku?

Ś. p. Angelus skarży się, że go zabijał rozgłos nadany tej sprawie przez prasę. Nasuwa się znowu pytanie, czy najżarliwszy w tej sprawie krzykacz, reporter i „redaktor *„Czasu“* p. Hopcas, ma zupełnie czyste ręce, czy wolno mu sądzić i potępiać, skoro o tem wie, że sam ma na sumieniu czyny karygodne! Ś. p. Angelus pisze: „Nowa Reforma“, „Głos Narodu“ i „Nap zód“ obchodziły się ze mną surowo, potępiały, ale żalu nie mam, bo wiem, że nie była to ani konkurencyjna zawiść sprawozdawcy „Czasu“ Hopcasa, ani polowanie za skandalem, z którego żyją „Nowiny“.

* * *

Ś. p. Angelus uskarża się wreszcie na krzywdę, którą mu wyrządził dr. Seinfeld, jego były adwokat i poleca rodzinie, aby tej krzywdy dochodziła. Dr. Seinfeld umówił się z Angelusem, że za przeprowadzenie całej sprawy ma mu Angelus zapłacić 3000 koron. Kwotę tę pobrał z góry. Potem w toku śledztwa, bądź przychodził z wiadomościami, że wszystko zo tało umorzone i w kazując na siebie mówił: „Ja Seinfeld to zrobiłem“, bądź alarmował lub groził latami kryminału, żądając coraz nowych honoraryów. W ten sposób — pisze Angelus — wziął odemnie jeszcze 2000 koron, razem 5000 koron, a nic mi nie zrobił, nie dał mi żadnej ani fachowej ani ludzkiej rady. Żądał tylko ciągle żeby przynosić do niego wszystkie biżuterye i kosztowności, których nie miałem, bo mówił, że u niego będą bezpieczne, albo straszył mnie zykanego. Powoływał się na swoje stosunki z radcami i wpływy w sądzie i obiecywał, że sprawa musi być umorzoną. Czy tak postępuje uczciwy adwokat,

to się nazywa obrońca? Proszę, żeby rodzina moja, która pozostała bez środków do życia, dochodziła mojego prawa. Jeżeli jestem nędzny i nieszczęśliwy czy wolno mnie tak wyzyskiwać? Prócz tego zabrał dr. Seinfeld od sędziego dra Kisiela, bez mojej wiedzy i mego zezwolenia, książeczkę kasy oszczędności na 435 kor., własność mej żony, przeznaczoną na czynsz za mieszkanie, pieniądze podjął i wziął dla siebie. To jest bezprawie.

W innym liście pisze Angelus: „Seinfeld zabrał od sędziego śledczego liczne prywatne listy. Boję się, poznawszy go, żeby z nich kiedy dla swoich celów nie korzystał, gdyż dotyczą one wybitnych osób, a nie chcę, aby ktokolwiek po mojej śmierci przezemnie miał przykrości. Polecam w godzinie zgonu, abyście odebrali te dokumenty. Seinfeld mnie zawsze zbywał, gdy się upominałem“.

Czy odnośnie do tej sprawy nie nasuwa się również gorzkie, a poważne pytanie w kwestyi godności stanu adwokackiego? Czy to nie bagienko?

Słowem, mogiła śp. Angelusa nad którą błyszczy krzyż przypięty do munduru dra Kisiela, nie pogrzebała jego sprawy. Odżyje ona teraz dopiero w różnych formach, a rewelacye będą ciekawe i doniosłe... Może się przyczynią do oczyszczenia powietrza... *G......*

Wilhelmina Suggi.

Z pośród instrumentów, na których dziś wirtuozi produkują się wobec spragnionych piękna muzycznego, przejawiającego się w coraz to innej formie dźwięku, — jedyna wiolonczela nie wielu ma przedstawicieli — a w tej niewielkiej liczbie zaledwie kilka przedstawicielek. Sam instrument o niskiem brzmieniu i poważnym męskim charakterze tonu, nie odpowiada istocie delikatnego usposobienia niewieściego, potrzebującego z natury rzeczy jakiegoś łagodniejszego w swej istocie, sposobu uzewnętrznienia artystycznych aspiracyj. Po za tem — niewygodny sposób używania wiolonczeli, nie sprawiający mężczyźnie najmniejszego kłopotu w ujęciu go — a nad wyraz niewygodny i niesposobny w ręku kobiety skrępowanej suknią odstraszał niejedną adeptkę tego instrumentu. — Kobieta jednak, ma na wszystko swój sposób. — Uciszyła i utrzymała ona w karbach niejeden gwałtowny i dziki temperament, usidliła i unieruchomiła niejednego, rumaka-bałamuta, nie trudno jej było też dać sobie radę z marnym, bo ledwie z kilku i to cienkich deseczek skleconym instrumentem — z wiolonczelą. Zamiast trzymać wiolonczelę po męsku, trzyma ją po... damsku i gra... i jak do tego gra na niej! Do niedawna była wiolonczelistka rzadkością w świecie wirtuozowskim a dziś jakkolwiek jest jeszcze niezwykłem i niecodziennem zjawiskiem estradowem, to jednak wdzięczna kobieca postać z „półbaskiem“ w dłoni, nie razi ani też nie zadziwia.



Wilhelmina Suggi.

Przed pięciu laty wydał S. Richter w Hamburgu książeczkę p. t. „Violoncelisten der Gegenwart“. Na 116 najwybitniejszych wiolonczelistów współczesnych, znajdujemy w dziełku tem, tylko sześć postaci niewieścich. Nie spotykamy się jednak z nazwiskiem Wilhelminy Suggia. Lecz jakaż dziwna zamiana. Kiedy nazwiska wiolonczelistek tych spotyka się dość rzadko — natomiast imię Wilhelminy Suggia wykwita od lat kilku coraz częściej na szpaltach prasy fachowej i codziennej, która podając wieści o jej sukcesach, przesadza się formalnie w pochwałach i zachwytach na cześć młodej wiolonczelistki, stawiając jej imię obok imion takich jak: Hugo Becker, Klengiel, Bonnat, Davieux, van Lier, Hollman, Martini, Popper i t. d. Nie przeczuwał lexikograf niemiecki, wydając wówczas swe dziełko, iż w jednej z prywatnych uczelni paryskich sposobi się wielki talent wirtuozowski, a sposobi się właśnie w grze na wiolonczeli.

Co prawda, niedyskretnie to, utrwalać drukiem datę urodzenia kobiety, a gorzej jeszcze młodziuchnej, pociągającej istotki — pełnej powabu a przytem i temperamentu. Zdradzić jednak muszę, iż p. Wilhelmina przyszła na świat roku 1886 w Oporto w domu patrycyuszowskim, zamożnej a nawskróś muzykalnej i muzyką gorliwie zajmującej się rodziny. Początków gry na tym niewygodnym instrumencie udzielano jej w domu i w miejscowej szkole muzycznej, lecz kiedy pełne temperamentu dziewczę zaczęło zdradzać niezwykłe zdolności a co więcej prawdziwy i szczery talent — posłano ją na naukę do Paryża. Po kilkuletnich studyach, rozpoczęła urocza, piękna, młoda, bo ledwie szesnastoletnia dzieweczka, karyerę koncertową, zjednując sobie od razu, nietylko życzliwość, lecz zarazem i entuzyastyczne uznanie krytyki i słuchaczy. Paryż, Londyn, Berlin, Drezno Wiedeń, Lwów, Bukareszt, Lizbona, Wenecya, oklaskiwały już artystkę, która zarówno grą swą szczerą i pełną temperamentu — jak i wdziękiem postaci, rzuca czar na słuchaczy. Najstraszniejsza, bo najmuzykalniejsza pod słońcem i najbardziej wymagająca publiczność lipska, wyprawiła młodocianej wiolonczelistce owacyę w zeszłym sezonie, w ciągu którego grała także i we Lwowie.

Niebawem posłyszymy artystkę we Lwowie a następnie i w Krakowie. Będzie to wyborna sposobność podzielić zachwyty jednego z naszych znawców gry wiolonczelinowej, który nie wahał się orzec, iż: „p. Suggia zaliczyć się może do najpierwszych mistrzów tego trudnego instrumentu (wiolonczeli). Świetna technika, obok ślicznego tonu i widocznego zapału, który nie może się nie udzielić słuchaczom, czynią grę artystki porywającą..!“

Najlepszą jednak rzeczą pójść i samemu posłuchać...

Pójdziemy! *—urs.—*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

23 (Ciąg dalszy).

— Na miły Bóg, Heleno! otwórz czemprędzej! — wołał wzburzonym głosem — urzędnik policyi stoi na ulicy i bacznie wpatruje się w nasze okna. Jeśli to jest pościg za nami, musimy jak najspiesznej uciekać i zmylić jego czujność!...

Przestraszone dziewczę drżącą dłonią obróciło klucz w zamku i wpuściło do swego pokoju kuzyna, który widocznie musiał ubierać się z wielkim pośpiechem, bo strój jego wiele pozostawiał do życzenia, a włosy, układane zawsze z taką starannością, teraz były zburzone, jakby właściciel ich dopieroco opuścił łóżko. Ale to podniecenie Cezara, to jego wzburzenie i obawa, były takie nienaturalne w stosunku do wczorajszej pewności siebie, odznaczały się tak teatralną pozą i patosem, że Helena musiałaby poznać odgrywaną przez niego komedyę, gdyby tylko umiała była zachować zimną krew, gdyby nie zaślepiła jej chwilowa obawa.

— Jedyna nasza nadzieja, droga kuzynko, jest albo w ucieczce, albo w dalszem dobrem odgrywaniu roli, którą przyjęliśmy! — szepnął Cezar dziewczę — inaczej jesteśmy zgubieni!...

I to mówiąc, chciał podać Helenie płaszczyk, gdy wtem na korytarzu rozległy się szybkie kroki i ktoś silnie zapukał do drzwi tego pokoju, w którym oboje znajdowali się właśnie.

Cezar z miną pokonanego bezsilnie usunął się na krzesło, a Helena, drżącym ze wzruszenia głosem, powiedziała stereotypowe „proszę“; ktoś nacisnął klamkę, ale drzwi były jeszcze od wieczora zamknięte na klucz przez Helenę, więc przybyły napróżno szarpał niemi. Wówczas Cezar, jakgdyby nabrał odwagi, zerwał się z krzesła, otworzył drzwi i zagrodził swą osobą drogę starszemu już, wysokiemu mężczyźnie, który chciał wejść do pokoju.

— Czegóż to pan sobie życzysz, mój panie? — zawołał podniesionym głosem — jak śmiesz o tak wczesnej porze dobijać się do pokoju obcej ci całkiem damy?!...

— Później dam panu wyjaśnienia w tym kierunku! — rzekł spokojnie przybyły — a na razie zachowuj się pan ciszej, tak w swoim własnym interesie, jak i w interesie tej damy! Proszę tymczasem wpuścić mnie do pokoju!

— Ależ to jest pokój mojej żony! — krzyknął z oburzeniem Cezar, który znakomicie grał swoją komedyę.

— O! niech się pan nie boi! Już my ją przeprosimy, skoro to wszystko, co pan opowiadasz, zdołasz nam także udowodnić!...

Cezar chciał jeszcze się sprzeciwiać, ale we drzwiach, tuż za nieznajomym, ukazały się kaski dwóch policyjnych żołnierzy. Ustąpił więc krok wstecz i zrobił przejście dla gościa, który, wszedłszy do pokoju, nawet nie zamknął drzwi za sobą, lecz skłoniwszy się lekko Helenie, zwrócił się wprost do Cezara.

— Jestem urzędnikiem policyjnym, mój panie i dlatego proszę łaskawie odpowiedzieć szczerą prawdę na pytania, które panu postawię. Pan, przyjechawszy do tego hotelu, zameldowałeś się, jako „Karol Reimer, fabrykant z Mannheimu“, czy tak?

— Tak jest, mój panie!

— I zapewne powiesz mi pan, że to jest prawdziwe twoje imię i nazwisko?!

— Naturalnie!...

— Dobrze! Tę damę zameldowałeś pan znów jaką swoją żonę. Czy ona naprawdę jest pańską żoną?

— Tak! naprawdę!...

— Dobrze! a teraz niech mi pan raczy pokazać swoje papiery legitymacyjne!...

— Papiery?!... nie mam żadnych przy sobie! Wybrałem się w tę podróż dla przyjemności i nie przypuszczałem nigdy podobnego wypadku!...

— Ach, tak! no a panią, to szkoda nawet pytać o papiery — rzekł z uśmiechem ironii urzędnik do Heleny, stojącej, jak martwy posąg w pośrodku pokoju i obrzuciwszy surowem spojrzeniem młodą parę, dodał chłodno:

— Wobec tego jestem zmuszony aresztować państwa i przytrzymać w więzieniu aż do chwili, w której zdołamy stwierdzić tożsamość waszych osób. Proszę za mną!...

Helena z krzykiem rozpaczy padła na kanapkę a Cezar z lwią odwagą rzucił się na urzędnika.

— Nie myślałem nigdy, żebyś pan w ten sposób mógł postępować wobec kobiety! — krzyknął z gniewem — powtarzam panu jeszcze raz, że jestem uczciwym człowiekiem i że ta pani jest moją żoną! Czy pan uważasz nas za zbrodniarzy?

— Nie za zbrodniarzy, ale za młode lekkomyślne dzieciaki, które trzeba sprowadzić na dobrą drogę — zabrzmiał nagle słodki, łagodny głos, który Helena odrazu poznała i we drzwiach ukazała się drobna figurka doktora Harrasa.

Urzędnik spojrzał na młodą parę z szyderczym uśmiechem.

— A cóż? czy i teraz zechce pan uchodzić za Karola Reimera, fabrykanta z Mannheimu, podróżującego dla przyjemności ze żoną?! — zapytał. — Zdaje mi się, że lepiej będzie, jeśli powrócicie do dawnych ról swoich! Tak, panie Cezarze Springer! tak, panno Heleno Springer! Trzeba teraz wracać do domu w towarzystwie pana doktora!...

— Nigdy! — zawołała ze zgrozą Helena — niema świecie siły którąby mnie zmusiła powrócić do domu mojego stryja!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Domejko i Dowejko.

HUMORESKA.

3 (Ciąg dalszy).

— Tere fere. Znowu się pana trzymają żarty. Pan mnie masz za waryata? I tym razem kawał się nie udał. Płacisz pan za automobil?

— Ależ za jaki automobil?

— Kpij pan z kogo innego. Przyszedłem, aby urządzić kieszonkową rewizyę. Użyję przemocy. Hola! Pokaż-no pan zawartość swoich kieszeni!

Jak burza zleciałem na gościa. Chwyciłem go za bary, aby wyrzucić za drzwi. We drzwiach... To jest okropne...

. . . .

— Przemocą!!! Przemocą!!! — komenderował mój gość.

. . . .

Dwóch drabów powaliło mię na ziemię, zawiedli mnie na kanapę, gość wraz z woźnym sądowym rewidowali moje kieszenie. Skąd się ta cała hołota wzięła, nie mam pojęcia. Zapewne podczas naszej rozmowy ukryci byli za drzwiami. Postanowiłem siłą uwolnić się z ich rąk. Prawą pięścią uderzyłem jednego z pachołków w łeb. To jeszcze bardziej napastników rozjuszyło. Ubezwładnili mnie siepacze, trzymali mnie za ręce, a woźny przetrząsał moje ubranie. Słyszę wołania:

— Złoty zegarek z łańcuszkiem.

— Poczekaj, łotrze jakiś!

— Oprócz egzekucyi będzie jeszcze siedział w kryminale za obrazę władzy sądowej. W portfelu ma trzysta koron.

— Oddaj to zbóju!! — wołam resztą tchu.

— Obraża mię w urzędowaniu, pół roku kryminału. Papierośnica srebrna, drobnej monety ma dwadzieścia ośm koron, pierścionek, złote spinki u koszuli, zaręczynowy pierścionek z brylantem na palcu.

— Połóż to, morderco!! — szepcę, konając.

— Ależ dobrze. Już jest gotów. Goły jak turecki święty. A teraz w nogi.

Oprawcy piorunem rzucili się ku drzwiom, wypadli na kurytarz, bocznemi drzwiami uciekli do ogrodu; ja chcę lecieć za nimi, chcę wołać o ratunek, biedz do żandarmeryi, do sądu...

Zagrodziło mi drogę dwóch oficerów od artyleryi. Pierwszy raz ich na oczy widzę.

Stanęli murem w głównych drzwiach.

— Za pozwoleniem. A szanowny pan dokąd?

— Jakto, dokąd? Do sądu! Idę dać znać do żandarmeryi!!!

— Czy pan na seryo to mówi?! — rzekł jeden z wojskowych, przeszywając mnie piorunowem spojrzeniem.

— Zupełnie na seryo.

— To jest ostatnia podłość!!

Jakby mi nogi do ziemi wrosły.

— Mój panie!!!

Oficer zaprowadził mnie prawie przemocą do krzesła, posadził mnie napół zemdlonego, sam usiadł i mówił:

— Panie, ja wszystko rozumię i pojmuję. Nie wziąłbym panu zupełnie za złe, gdybyś mi pan wręcz powiedział: nie przyjmuję pojedynku, bo prawo uważa pojedynek za zbrodnię. Jeszcze raz panu powtarzam, że choć jestem oficerem, nie wziąłbym tego za złe. Ja prywatnie, ale to tylko prywatnie, solidaryzuję się z antipojedynkową ligą zawiązaną we Lwowie. Ja przyznaję, że pojedynek jest czemś złem, które wykorzenić należy, jest średniowiecznym zabytkiem ciemnoty, któremu walkę wydać trzeba. Ale wiedz pan o tem, że jakiekolwiek będą losy pojedynku, to denuncyacya będzie zawsze hańbą i ostatnią podłością. Jeśli pan zamierza zadenuncyować nas do sądu i żandarmeryi...

— Przepraszam pana, panie oficerze. Zrób mi pan jedną łaskę.

— Służę.

— Mój dobry panie! Każ się pan sam zamknąć do domu obłąkanych, a mnie daj święty spokój.

— Udaje głupiego — rzekł ze śmiechem podporucznik do porucznika.

— Za pozwoleniem. Trzeba naprzód stwierdzić tożsamość osoby. Jak się pan nazywasz?

— Józef Müller, obywatel.

— Zatem on! To on!

— Tchórzy przed bronią i chce podle sekundantów denuncyować do żandarmeryi.

— Jakich sekundatów?... — wołam oszalały. — Ja chcę denuncyować ostatnich drabów, którzy napadli mój cichy dom!

— Obraża nas!!!

— Ukradli mi złoty zegarek!!!

— Na szablach rozniesiemy!!!

— Cofnij pan te słowa!

— Bo rąbię!!!

Upadłem na krzesło. Zatem nie oni są waryatami, ale ja jestem waryatem.

— Mój dobry panie! Schowaj pan tę szablę i racz mi zrobić wielką łaskę.

— O co chodzi?

— Miej pan na tyle filantropii i racz mnie pan zaprowadzić do domu obłąkanych.

— Co? Do domu obłąkanych? E! Nie uda się panu sztuka.

— Dlaczego mi się nie uda?

— Dlaczego? Bo ja już wszystko widziałem. Ja, proszę pana, więcej niż dwadzieścia razy w życiu byłem sekundantem, a w pięciu wypadkach wyzwany tchórz udawał głupka.

— Jeśliś — rzekł drugi oficer — miał odwagę popełnić nędzny czyn, miej teraz odwagę stanąć przed nabitą bronią.

Złożyłem ręce jak do modlitwy.

— Szanowni panowie o czem wy właściwie mówicie? Powiedzcie mi to, ale w sposób całkiem zwyczajny. Zaklinam was, abyście mi powiedzieli jedno rozumne zdanie, jedno zdanie proste, takie, żeby był w niem raz nareszcie jakiś podmiot, orzeczenie i łącznik.

— Wyzywamy pana na pojedynek!

— Ależ ja nie znam panów. Ja was nigdy na oczy nie widziałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązania z Nru 43.

Arytmogryf.

P
e r a
w e z y r
o r d y n a t
p r e z b i t e r
k o n s t y t u c y a
D z i e c i S z a t a n a
p o l i s z y n e l e
p r o t e k c y a
s z e w i o t
r o s ó ł
o k o
i

Przybyszewski — Dzieci Szatana.

Szarady.

I. **Czartoryski**. II. **Cecora**.

Rozwiązanie kryptogryfu.

Tetmajer	Anioł śmierci
Dygasiński	Dramaty lubądzkie
Zapolska	Antysemitnik
Zacharyasiewicz	Moje szczęście
Gliński	Klęska
Krechowiecki	Rdza
Prus	Emancypantki
Orzeszkowa	Cnotliwi
Rodziewiczówna	Hrywda
Sienkiewicz	Ogniem i mieczem
Kosiakiewicz	Widma
Kowerska	Irena
Chmielowski	Estetyka Mickiewicza
Junosza	Czarne błoto
Reymont	Komedyantka
Łoś	Intrygantka

Adam Krechowiecki.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: H. Mokrzycka z Turbii, St. Łaszkiewicz Słotwina, H. Banke Kraków, H. Dydacka Żurawno, T. Domain Sanok, M. Różański Gorlice, T. Wasiewiczowa Baranów, A. Surowiecki Podgórze, St. Bassara Niwiska, St. Szwalbowicz Żurawno, M. Arbesbauer Lwów, M. Opolska Czarny Dunajec, Ł. Skazówna Kraków, J. Dołżyńska Przemyśl, K. Jurkiewicz Przemyśl, K. Chodkiewicz Zbydniów, Skulski Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. M. Opolska w Czarnym Dunajcu. Prosimy o nadesłanie 72 hal. na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Pierwsze, czwarte wyrób sztuczny,
Błyskotliwy, świetny, huczny,
Niby strzała w górę płynie
Wieczorami na festynie.
Drugie każda ma granica:
Jeśli towar ktoś przemyca
Musi poddać tam opłacie,
Co to? chyba wnet poznacie!
Czwarte z pierwszem zdobi lica,
Jeśli gładka, to zachwyca,
Lecz szczególniej podziwiamy
Jeśli nim się szczycą damy.
Drugie jej znaczenie za to
Równoznaczne bywa z łatą.
Trzecie, czwarte — to inaczej,
W złem narzeczu — dowcip znaczy.
Całość nazwa — co z wspomnienia
Mrok dziejowy rozpromienia.
Imię wsi — ma cztery zgłoski,
Upamiętnił lud krakowski,
A wrogowi był nauką
Jak to polskie chłopy tłuką!

Arytmogryf kryształowy.

15
35 29 36
13 3 17 16 3
5 25 30 14 20 22 30
19 21 20 24 29 26 33 16 11
19 3 25 34 3 26 28 29 3 25 18
15 29 17 14 29 26 33 16 21 26 26 3 16
16 25 22 17 14 16 21 30 26 16 14
26 28 21 15 21 30 26 16 14
28 21 18 26 28 21 15
30 14 26 18 3
12 3 33
16

Podane liczby zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe 13 tu wyrazów, czytane z góry na dół w kierunku pionowym i poziomo, utworzyły imię i nazwisko malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Samogłoska. 2. Objaw nadprzyrodzony. 3. Opera polska. 4. Osada w gub. Warszawskiej, 5. Kompozytor polski. 6. Królowa szkocka. 7. Malarz polski. 8. Artysta dramatyczny. 9. Pianista współczesny. 10. Powieściopisarz. 11. Rzeka. 12. Ciało lotne. 13. Spółgłoska.

Arytmogryf literacki.

1 2 3 4 5 **6** 7 8 9 6 5
10 11 12 **11** 4 6 5
13 10 14 9 **15** 2 4 6 5
1 16 5 15 **5** 17 9 6 5
18 14 **19** 11 9
9 5 2 20 6 **5** 2 8 5 4 15
9 19 7 16 **2** 17 9 6 5
9 14 **10** 22 20
19 11 21 14 9 **15** 2 8 9 6 5
18 2 7 **21** 22 19 11
23 **2** 4
16 2 20 11 10 **21** 7 8 5 4 15
4 25 2 3 **19** 5 4 6 5
25 7 26 19 **11** 20 7 8 11
20 5 2 19 7 **27** 7 8 9 6 5
13 7 10 **2** 4 6 5
9 5 2 19 5 **10** 11 28 15 6 5

Ułożyć 17 wyrazów, których litery środkowe, czytan z góry na dół, utworzą imię i nazwisko współczesnego poety polskiego.

Znaczenie wyrazów: literatki i literaci.

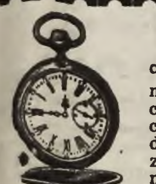
Jako nagrode za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy:

„Wspaniały kosz jabłek tyrolskich“.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. T. Domain w Sanoku: Szan. Pan się myli. My bynajmniej nie wymagamy, aby rozwiązania były nadsyłane w liście, a nie na korespondencyjnej karcie. Na karcie korespondencyjnej można to wszystko dokładnie pomieścić. Nie wymagamy, aby rozwiązania były wykreślone w tym samym geometrycznym porządku — wystarczy napisać *in continuo* jedno rozwiązanie za drugiem, a wszystko się zmieści.

Edm. Brodkowski
Lwów, plac Halicki l. 14
pierwsze piętro.
POLECA
po cenach hurtownych
najnowsze aparaty fotograficzne dla pp. Studentów, Inżynierów, Malarzy, Rzeźbiarzy
jakoteż do celów naukowych i amatorskich.
Cenniki gratis i franko.
Na żądanie sprzedaje się na 4-miesięczny kredyt.



Proszę żądać
darmo i opłatnie mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych
HANNS KONRAD
PIERWSZA FABRYKA ZEGARKOW
w BRÜX Nr. 786 (Czechy).
Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

Poleca rozmaite wyborne gatunki
KAWY
codziennie świeżej
równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem
za pomocą gorącego powietrza
odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości
po cenach bardzo przystępnych.
Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy
codzień świeżo
paloną kawę 2—14
opłatnie.

Pierwsza Krakowska
elektro-mechaniczna
PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI
KRAKÓW
Rynek gł. 44.

SALON KOSMETYCZNY
PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14
poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

Singera maszyny do szycia
znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach
NIEMETZ I SP.
w Krakowie, ul. Szewska 2
(pierwszy dom od Rynku).
Przyjmuje wszelkie naprawy. Ceny niskie.

„FLORA“
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKÓW, PODWALE 13.

Nakładem Wydawn. Salonu Malarzy polskich
wyszedł
Cykl historycznych obrazów na pocztówkach
Floryana Cynka, prof. Akad. sztuk pięknych w Krakowie.
Cena Kor. 1·—
Za nadesłan. K 1·20 wysyła franko
Henryk Frist, Kraków
Floryańska l. 37.

WĘGIERSKA
RÓZANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.
Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych
Haupt A. Rudolf, Budapest
VII. Ovodagasse 22.

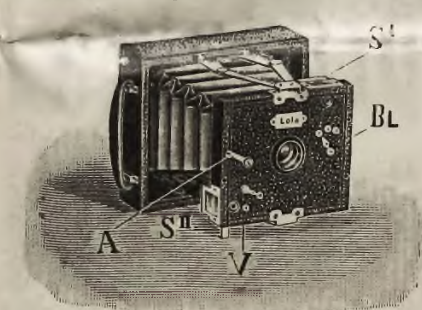
NOWO OTWORZONY ZAKŁAD CYNKOGRAFICZNY

Edm. Brodkowski, Lwów **plac Halicki, pierwsze piętro.**

Wykonuje autotypie, fototypie i cynkografie najtaniej i najlepiej.

Liczne uznania są w moim handlu do przejrzenia, o próbne zamówienia uprasza się.

Cenniki gratis.



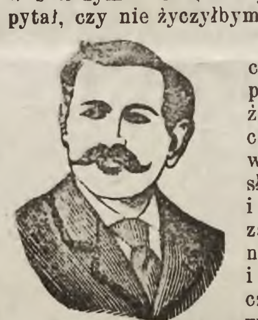




Cenniki gratis.

Byłem łysy.

John Craven Burleigh, pewien kupiec londyński pisze.
Jeszcze przed kilku laty była moja czaszka całkiem łysa. Mój ojciec i dziadek byli łysi. Włosy mojej matki były z przyrody nadzwyczaj cienkie. Już byłem się oswoił z tą myślą, że zostanę łysym, aż dopóki pewnego dnia podczas wycieczki do Szwajcaryi nie poznałem się z pewnym uczonym panem w starszym wieku, który mię w ciągu rozmowy wprost zapytał, czy nie życzyłbym sobie posiadać bujny zarost włosów.



Nadzwyczaj zaciekawiony dałem całkiem naturalnie potwierdzającą odpowiedź. Wtedy opowiedział on mi, że przez całe swe życie zajmował się chemią, a w szczególności chorobami włosów. Dla potwierdzenia swych słów, zanotował on mi pewną formułę i polecił mi najusilniej preparat kazać sporządzić. Przyjechawszy do Genewy nie zaniechałem to wykonać i używałem preparatu przez krótki czas. Po trzech tygodniach poczęły się włosy odnawiać, a po **czterdziestu dniach** była moja czaszka włosami całkiem pokryta. Część pomady dałem dwom przyjaciołom; jedną część pewnej damie, której włosy prawie zupełnie były wypadły. — **Rezultat był w obu wypadkach zdumiewający.** Od tej pory, otrzymawszy wpierw od uczonego, który to odkrycie uczynił, pozwolenie, sprzedaję ten środek kosmetyczny. Jestem w przyjemnem położeniu, setki równych przykładów silnego działania u osób obojga płci dowieść. Nie jest to żaden środek tajemniczy. Gwarantuję, że nie zawiera żadnych składników zdrowiu lub skórze szkodliwych.

Aby się jednak Pan mógł przekonać o prawdziwości tego środka będzie Panu na życzenie wysłaną bezpłatna próbka, Po tem zaś, gdy Pan znajdzie, że pańskie włosy zaczynają rosnąć, może Pan nabyć dalszą ilość za cenę umiarkowaną u pana Wiliama Scotta we Wiedniu, który ma monopol sprzedaży dla Austro-Węgier.

Próbka bezpłatnie. Każdemu czytelnikowi, który mi powołując się na tę gazetę przyszle swój adres na korespondentce wyraźnie napisany, przyszlę próbkę bezwarunkowo bezpłatnie. Należy adresować.

WILLIAM SCOTT
Wiedeń, I./870 Franz Josefs-Kai 19.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA
Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.
Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.
Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.
Bezpłatne dodatki.
Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Za 50 koron
przyjmujemy ograniczoną ilość włościan do podróży z Roterdamu, Antwerpii lub Havru
do Ameryki południowej
Kto chce skorzystać ze sposobności, która się już może nigdy nie zdarzy, a która nie nakłada żadnych obowiązków, niechaj się zwróci do:
ATLANTIC EXPRESS
12, Duke Street, Aldgate London E. C.
Prawdziwe, przez zastępcę rządu zbadane, informacye o stosunkach pracy, klimacie i t. p. zostają bezpłatnie udzielane.

„PENSION NOUVELLE“

poleca pokoje umeblowane, każdy z osobnem wejściem, z całem utrzymaniem lub bez, dla osób przejezdnych i stałych mieszkańców, po cenach przystępnych.

ULICA ZACISZE L. 5, II. PIĘTRO, SCHODY NA PRAWO.

M. Beyer i Spółka, Kraków, Sukiennice Nr. 12—14.

Główny skład bielizny damskiej, męskiej i dziecinnej.

Płócien i bielizny stołowej. Całe wyprawy ślubne, od najskromniejszych do najozdobniejszych są na składzie. Wyłączny skład bielizny normalnej, trykotowej Prof. Dra Gustawa Jaegera, oraz wszelkich wyborów trykotowych, jedwabnych, wełnianych i bawełnianych, dla pań, panów i dzieci.

Zamówienia zamiejscowe uskutecznia się odwrotną pocztą.

Międzynarodowy Cyrk-Colosseum

R. HOVARTHA

w stałym budynku cyrkowym na Wielopolu.

We środę, dnia 1 listopada 1905

WIELKIE GALOWE

Przedstawienie inauguracyjne

z doborowym programem.

Cyrk składa się z 45 osób. Artyści i artystki pierwszorzędni!

Początek o godz. 8 wieczór — Bliższe szczegół na afiszach.

Darmo i opłatnie

otrzyma każdy mój bogato



illustrowany cennik

Instrumentów muzycznych

oraz różnych



ZABAWEK

A. Scheuer, Kraków

ulica Grodzka l. 59 6. 7-52

SKŁAD MASZYN DO SZYCIA I WARSZTAT NAPRAWY IGNACEGO GROSSA

POD KIEROWNICTWEM:

JANA POJEGO, mechanika specyalisty W KRAKOWIE, UL. STAROWIŚLNA 1

(NAPRZECIW GŁ. POCZTY).

Wykonuje szybko, dokładnie i gruntownie naprawy maszyn do szycia wszelkich konstrukcyi. Sprzedaje maszyny używane w znakomitym stanie, jakoteż części składowe najlepszego gatunku do wszelkich systemów maszyn do szycia.

Zamówienia z prowincyi załatwia się odwrotną pocztą. Wszelkie naprawy mogą być uskutecznione w przeciągu 48 godzin.

CENY UMIARKOWANE.

Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis"



Właściciel: A. MUSIOŁEK

założony w roku 1897.

Sklep: Kraków, ul. Sławkowska 16.

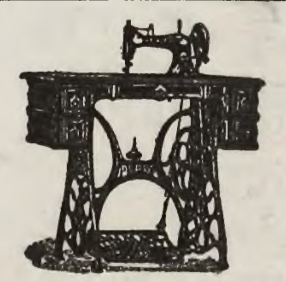
Hodowla i skład zwierząt: Zwierzyniec „Willa Wisła". Menażerya i własny park zwierząt w Parku Krakowskim poleca się nadal Szan. PT. Publ. Cenniki bezpłatnie za nadesł 5 hal. marki Młode Bernhard od 20 zł. Foxterriery. Jamniki, różne rasowe kury, angora koty, kolibry, papugi, harceńskie kanarki, złote rybki, oswojone małpki i t. d. — Bardzo tanio wypycha się ptaki i zwierzęta.

Uwaga: Około 20 to letnie praktyczne doświadczenia, jakoteż dokładna znajomość fachowa, nabyta w kraju i zagranicą, dają mi możność uskutecznienia starannego, wszelkich poleceń w zakres hodowli i sprzedaży zwierząt wchodzących, po najniższych cenach jak dotąd tak i nadal.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.

w Krakowie, Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.



Maszyny do szycia i haftu

poleca

od 32 lat znany P. T. Publiczności

SKŁAD MASZYN

JÓZEFA IWANICKIEGO

mechanika i specyalisty

we Lwowie, Hotel George'a.

Nauki szycia i haftu udziela bezpłatnie firma.

Agentów nie posyła

Cenniki darmo i opłatnie.

BIURO

NAUCZYCIELSKIE

Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling

Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego

poleca:

Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

Na prowincyę

wysyłamy po nadzwyczaj niskich cenach tak za gotówkę, jak i na kredyt dywany, portyery, firanki, kapy, koce, kołdry, konfekcyę męską, damską i dziecinną, obuwie, bieliznę, meble, lampy, naczynia porcelanowe jakoteż wszelkie inne możliwe towary.

Pięknie illustrowane nasze cenniki za nadesłaniem 10 h. w markach.

Listy należy adresować:

Zarząd pierwszego krajowego Domu towarowo-eksportowego

„JUTRZENKA"

Lwów, Pasaż Mikolascha l. p.

Poleca się

EDMUND MARYAN BEER

Jubiler i złotnik

długoletni współpracownik b. firmy

J. OSTROWSKI & J. STRZELECKI

LWÓW, Akademicka l. 4.

Przepiękne i trwałe

ubrania zimowe z bardzo dobrej materyi kamgarnowej na każdą miarę po złr. 9·75, płaszcze zimowe (oberoki) po złr. 9·75, kurtki futrzane po złr. 13·50 wysyłamy na prowincyę tylko za pobraniem pocztowem. Na żądanie zamiana lub zwrot pieniędzy odwrotną, przez co wszelkie ryzyko wykluczone.

Zarząd pierwszego krajowego Domu towarowo-eksportowego

„JUTRZENKA"

Lwów, Pasaż Mikolascha l. p.

Klisze

na cynku, mosiądzu i miedzi do wydawnictw naukowych, artystycznych, kart z widokami, cenników i t. d. i t. d.

najlepiej i najtaniej wykonywa:

NAJWIĘKSZY KRAJOWY ZAKŁAD

dla reprodukcyi fototechnicznej

T. Jabłoński i Spółka w Krakowie

Telefon Nr. 614. ul. Franciszkańska 4.



Kolibry	od 1—2 złr.	
Papużki małe	od 1·50 — 3	„
Papużki średnie	od 4·50 — 7	„
Papugi duże	od 10 — 25	„
Papugi duże mówiące	od 28	„
Kanarki harceńskie	od 6	„

Rasowe psy

u R. Waltera L. 31

ulica Sławkowska przy plantach w Krakowie.

Niema więcej cierpień rupturowych

dokładne i szczególne objaśnienia

(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)

przesyła bandażysta: S. Mittelmann

Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.

Fabryka wyrobów wełnianych w Kętach, założona 1867 r.

Firmy: **F. & E. Zajączek i Lankosz**

poleca: **sukna, sieraczki**, najmodniejsze **kamgarny i korty** wyrobu własnego oraz oryginalne angielskie. **koce, derki, filce dywanowe, flane'e wstąpione, wełnę** do watowania i wszelkie **podszewki.**

Składy: we **Lwowie**, ulica Teatralna l. 3, w **Krakowie**, Rynek gł. 44, linia A-B dla sprzedaży hurtownej i drobiazgowej.

Rządowo uprawniona

FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.

i specyalnych leczniczych, pod firmą

K. RZĄCA I CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.

Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak polecone przez tož Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.



Pierwszy krajowy skład hurtowny i częściowy **gramofonów i fonografów**

Józefa Wekslera

Kraków, ul. Grodzka l. 71

poleca w bardzo wielkim wyborze **Gramofony, Fonografy, płyty i walce najnowszych zdjęć.**

Ceny bardzo przystępne — Cenniki darmo i opłatnie

Gramofon koncertowy z 10 płytami złr. 35.

Fonograf koncertowy z 5 walcami złr. 8.

Części składowe zawsze na składzie. — Reperacye wykonuje się dokładnie i szybko **po cenach umiarkowanych.** — Zamówienia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą.

Najlepszym pokarmem dla dzieci osobliwie w pierwszym okresie życia jest mleko **zdrowej** matki. Gdy jednak pokarmu tego nie ma, gdy matka nie znajduje się we wszystkich warunkach zdrowej i dobrej karmicielki, mączka dla dzieci **Gurgula** jest jedynym środkiem odżywczym i wyżywczym, który ten brak skutecznie zastąpi.

1) Do nabycia w aptekach. Do każdej puszki dołączony przepis użycia.

CUKIERNIA Kazimierz Sotschek

LWÓW

poleca się P. T. Publiczności

Bufet w teatrze miejskim.

Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Agentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.

Schütz i Chajes, Dom bankowy we Lwowie, plac Maryacki 7

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimbin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.

Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.